Nr. 18 (1062). Warszawa, dnia 21 Kwietnia (4 Maja) 1901 r. Rok XXI.

PRAWDA

FILOZOFIA — NAUKI SPOŁECZNE — NAUKI PRZYRODNICZE — HISTORYA — JĘZYKOZNAWSTWO — SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5

POLITYKA.

Mowa w Bonn.

Cesarz Wilhelm oddawał teraz najstarszego syna swego na uniwersytet. Dom panujący w Prusiech ma zwyczaj posyłać synów swoich do Bonn. Tworzy się tam formalny dwór, a gdzie dwór, tam arystokracya; słusznie też szczyci się uczelnia nadreńska opinią uniwersytetu arystokracyi. Za doskonałością arystokratyzmu idzie i elegancya; wolną jest od niej nauka, ale nie wolną katedra: profesorowie nawet czują się zobowiązanymi do pewnego szyku, do harmonijnej okrągłości ruchów, do skali życia wyższej nad poziom pospolitej belferki. Naukę zaraża co innego, nie elegancya: staranie o jak największy spokój, porządek, cenne dary zachowawczości. Bywają ludzie dzielni, zwłaszcza w przedmiotach starożytnictwa najrozleglej pojętego a dalekiego od życia, na odległość alfy Łabędzia; ale nauki żywej, z żywymi idącej, było niegdyś, i dziś jeszcze jest, mniej niż w innych szkołach głównych niemieckich, które wogóle usiłują zasiewać głowy tylko zdrowem, wypróbowanem, odleżałem ziarnem. Jest to nieuchronny skutek pewnego przystosowania się do otoczenia, zapewniającego mieszczaństwu chleb pewny, a z chleba majątek; nie można przecież w chińską porcelanę nalewać jakichś niesmacznych kwasów, gdy się ma pod ręką słodkie eliksiry, zażywające tradycyjnej sławy. Inne są potrzeby człowieka wyżej, inne — niżej urodzonego.

Nie byłoby cesarza Wilhelma bez mowy, a że był w Bonn, była więc i mowa w Bonn. Wypowiedział ją ojciec, przywożący syna, na komersie studenckim. Kto miał być kolegą ten musiał przejść przez rogatki koleżeństwa. Akt ten zaopatrzył cesarz Wilhelm w komentarz, nie pozbawiony znaczenia politycznego. Zaczął od przeszłości niemieckiej. Monarchia uniwersalna krzywdziła niemiecką: nie pozwoliła się jej rozwinąć, z braku ścisłej narodowej podstawy. Czasy owe charakteryzuje nienawiść powszechna; tacytowskie *propter invidiam*, daje się do nich zastosować. Dziś nastały czasy lepsze i z lepszą przyszłością. Czeka ona na was—wykładał rzecz swą mówca — aby z sił waszych skorzystać. Pożytku jednak nie będzie ani z kosmopolitycznych marzeń, ani ze stronniczych dążności, lecz jedynie tylko z myśli narodowej, z narodowych ideałów. Zabiegać o ich trwałość—to obowiązek. Bohaterowie germańscy od Bonifacego i Waltera von der Vogelweide do Goethego i Schillera, stali się błogosławieństwem całej Ludzkości: działają uniwersalnie, a przecież byli zabitymi Germanami. Takich dziś potrzeba, z takich mieć wzory—powinność. Kto w tem dążeniu dopomoże? „Tylko Zbawiciel Pan.“ Miłość ojca i matki, rodziny i ojczyzny w nim ma początek. Na takiej wsporze można bezpiecznie śpiewać: My, Niemcy, boimy się tylko Boga, a zresztą niczego więcej w świecie. Bogiem staną Niemcy silnie, niosąc światu kulturę. „Ja zaś spokojnie zamknę oczy, jeśli widzieć będę, że takie pokolenie otacza mego syna. A więc: *Deutschland, Deutschland über Alles!*“

Te pisma niemieckie, które nie uważają za herezyę zastanowienia się nad mową, pogłębiają jeszcze tacytowską tezę zawiści szarpiących Niemców i wykazują cały szereg, nieledwie systemat walk, wszystkich ze wszystkimi. Jest to przesada. O szarpiących nienawiściach poważnie mówić dziś już niepodobna. Muszą być i są nierówności, wyboje, nawet wertepy społeczne; ale w dzisiejszych Niemczech od 30 lat już trzymanych w jedności państwowej niema już ani narodowych, ani politycznych zawiści w tacytowskiem pojęciu, na czasy wielkiego historyka, najzupełniej prawdziwem. Jedność niemiecka może potrzebować jeszcze trochę kitu, trochę kija, nawet zgrzebła, ale już jest i będzie i nic jej nie wzruszy. Nie rozbije jej nawet grom kruszący państwo niemieckie. Nie z tej strony mowa w Bonn jest zajmującą. Uderza w niej pielęgnowanie ideałów niemieckich, niesienie kultury światu na podstawie ściśle narodowej i działanie uniwersalne bohaterów ducha niemieckiego. To działanie właśnie jedność polityczna Niemiec pogrzebała. Światu niepodobna nieść ideałów swoich, ściśle narodowych, aby w zamian za nie otrzymać wpływ uniwersalny. Zrobić to może armata, ale nie zrobi słowo. Uniwersum

świata, ponieważ samo jest olbrzymiem człowieczeństwem, najgłębiej wyróżniczkowanem i najwyżej wyniesionem, potrzebuje też człowieczeństwa uniwersalnego, ideałów powszechnych. żywego głosu natury ludzkiej wogóle, a nie niemieckiej w szczególności, jeśli ma od bohaterstwa duchowego Niemców zadrgnąć. Do takich właśnie darów Niemcy od kiedy zyskali polityczną wielkość, są niezdolni. Tylko nauką przyczyniają się do kultury; jeśli bluźnierczo nie mamy używać tego wyrazu na określenie procederów kolonizacyjnych. Na ideały ogólnie-ludzkie, które jedynie tylko dają prawo do wpływów uniwersalnych, pierś niemiecka zastygła. Czasy Schillerów. Platenów, Gregoroviusów, Mosenów — niepowrotnie minęły. Podstawa ściśle narodowa — daje Niemcom oparcie, nie w Zbawicielu, ale w sile pięści i w oddanym na jej usługi rozumie. Dziś jedno tylko bohaterstwo ducha niemieckiego rzetelnem jest: to, którem Niemców uszczęśliwił Bismarck. Wszelkie inne — bańką mydlaną.

Tydzień polityczny. O misyi Delcasse'go, który d. 27 z. m. opuścił Petersburg, dzienniki francuskie piszą, że więcej miejsca w niej zajmuje „kwestya śródziemnomorska,“ niż azyatycka. Ta nowa kwestya dla Francyi jest zapewne zajęciem Marokka. Niejaki Givonnet w Commentry zdradził Kruppowi tajemnicę aliażu na armaty i pancerze. Uwięziono go wraz ze wspólnikami — W Algeryi koło Marguerite, powstanie Arabów; stłumione.

Izba wiedeńska d. 24 z. m. powróciła do protektoratu arcyks. Fr. Ferdynanda nad katolickim związkiem szkolnym. Po burzliwych rozprawach przyszedł pod obrady wniosek socyalistów, aby z kodeksu usunąć artykuł karzący za obrazę członków rodziny panującej. Radykalni Niemcy skorzystali z niego dla namiętnego natarcia na katolicyzm; dopomagali im wnioskodawcy. Rząd wniósł d. 26 z. m. projekt kanałów i uspławnienia rzek Przedlitawii, podobno uwzględniający potrzeby Galicyi. Koło otrzymało podarek z kolei żelaznych.

Rząd prusko-niemiecki złagodził swe stawki cłowe. Płacić będą: żyto, pszenica, słód jęczm. i owies 5½ marek, kukurydza 2½ m., bób, groch, soczewica 3½ m., słód niejęczm. 8 m., owce, krowy i cielęta 5 m., woły i wieprze 8 m.— od centnara podwójnego.

Izba gmin uchwaliła po drugiem już odczytaniu bil o prawności małżeństwa wdowca z siostrą zmarłej żony. W Anglii jest to sprawa narodowa.

W Transwalu walka nie przeniosła się jeszcze nad Oliphant. Anglicy nie dali się jej tam przedrzeć. Obecnie utarczki okrążają Lydenburg; Boerowie rozbijani. Stolica, Ross-Senekal, zajęta. Zaczyna się na nowo ruch w kraju Przylądkowym. Rokowania Bothy z Kitchenerem wznowione, Delarey skłania się do nich. Żona Bothy gra rolę pośredniczki. Dwa warunki po dawnemu: anneksya ogólna i dla Przylądka, usunięcie Milnera, prócz innych zapewniających już pewną swobodę życia wewnętrznego. Dzienniki angielskie zaczynają już mówić o chorobie Milnera i o Curzonie, jako jego następcy w zarządzie obu podbijanych osad. Nowe oddziały angielskie odpływają z Europy. Nie zgadza się na układy Chrystyan Devet; trzymają się jeszcze i inni. Siły boerskie podają na 15 tysięcy.

Koszta krwawej przechadzki angielskiej w Afryce południowej są nie do wiary wielkie; 153 mil. f. st., półtora raza tyle, ile kosztowała wojna krymska. Przybędzie jeszcze ze 40 mil. Na pokrycie prócz 60 mil f. st. pożyczki budżet podniesiony dać musi corocznie 11 mil. Dalsze umarzanie długów państwa wstrzymane. Obciążenie obecne 800 mil. f. st. Dochody, cukier, węgle dotknięte nagłem podwyższeniem podatków. Poczuje Anglia i inne skutki zaboru.

Nowy senat serbski opracowuje dla siebie ustawę wyborczą i regulamin.

Kongres macedoński w Sofii obradował bez burz; ale stowarzyszenia strzeleckie z nim związane lekceważyły sobie zakaz ćwiczeń. Rząd nie śmiał natrzeć od czoła. Opinia wciąż wzburzona. Dyplomacya stambulska wpływa na sultana, aby Macedończyków nie gnębił; zdaje się bez trwalszego skutku. Sprawa zaczyna się zwolna stawać europejską. Zwierzenia rządu francuskiego o Delcasse'm przyznają zamiar wystąpienia dyplomatycznego w Bałkanii.

W Chinach Anglicy, Francuzi i Japończycy zajęli Szan-hai-kuan po walce, która przeniosła się w okolicę. Niemcy przeciwko generałowi Liu z kilku tysiącami wojska wysłali silną kolumnę, wyparli Chińczyków za mur chiński i zdobyli nawet jedną jego basztę. Walka zacięta w d 23 b m. Francuzi obsadzili pozycyę.

Cesarz chiński ustanowił komitet do zreformowania rządu: książę Czyng, Li hung-czang, Kun-kang, Wang-weng-szao. Chung-li, Linchuan-ling, Liu-kuni i Czang-czy-tung. Spóźniony kwiat jesienny.

Suma wynagrodzenia jeszcze nieoznaczona. Wniosek amerykański, aby przystać na 40 mil. f. st., stanowczo odrzucony; ale słychać znowu o 65 mil., więc o miliard franków mniej od 450 mil. taelów z przeszłego tygodnia. Wynoszenie się stopniowe z Pekinu już na porządku dziennym obrad, zdaje się przecież, że teoretycznych.

W Portugalii rząd podjął energiczną walkę z duchowieństwem zakonnem. W Hiszpanii tempo rządowe zwolniało, społeczne, na pomorzu Śródziemnem, bez zmiany. Urugwaj wzbronił wygnanym z Portugalii jezuitom wylądowania.

W Japonii bankructwa.

ZYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

Berlin, 29 kwietnia

Nareszcie słyny dramaturg norweski, Björnson, dał się namówić i zawitał do Berlina. On, co tylokrotnie miotał gromy przekleństwa w pismach francuskich na „barbarzyńców północy“ i marzył o trójprzymierzu rosyjsko-francusko-norweskiem, które ubezwładniłoby Szwecyę oraz zburzyłoby Kartaginę nadsprewiańską, przybył nareszcie do Berlina, pierwszorzędnego swego źródła tantiem autorskich, aby, jak zapewniano, uderzyć czołem przed majestatem pruskim. Klub prasy tutejszej wydał na cześć jego ucztę, a Björnson przez wdzięczność w ten oto sposób uczcił wielkość Niemców: „Każdego lata przybijają do wybrzeży norweskich potężne okręty niemieckie, mając nad sobą szerokie niebo, a wokoło cuda natury północnej. Przy widoku tych okrętów myślę z bólem: gdyby też duch germański zechciał odważnie wyruszyć w krainę, gdzie bytują wielkie zadania ducha niemieckiego i marzenia jego pieśni, w krainę zjednoczenia rasy germańskiej! Tak, jestem pangermanistą i teutonem — wołał Björnson, podczas gdy sala trzęsła się od oklasków słuchaczy, a usta ich szeptały pocichu: Deutschland, Deutschland über alles.“ Lecz tu zaszła rzecz dziwna. Na chwilę zdawało się obecnym, iż mają przed sobą nie sławnego koryfeusza literatury współczesnej, lecz studencika, który wróciwszy z korepetycyj, wylewa wodę ze swych podziurawionych butów i marzy o wolności, równości i tym podo-

---

1)

Hall Caine.

Ostatnia spowiedź.

I.

O mój ojcze, nie odchodź jeszcze!.. Przez litość jeszcze chwilę!... Nie możesz mnie rozgrzeszyć, o ja nie czuję żalu. Nie żałuję, bo po raz drugi popełniłbym to samo. Czyż mogłem postąpić inaczej?

Tak, zapewne... wiem... wiem... Bóg powiedział: „Nie zabijaj.“ Lecz czyż to było rzeczywiście zabójstwo? Czyż to była zbrodnia? Przelałem krew, to prawda... ale należałoby rozróżnić... Wysłuchaj mnie do końca... Pozwól mi mówić... Miej litość! miej litość nade mną! Gdybyś wiedział, ojcze, jak mi ciężko przypominać sobie to wszystko... teraz... na łożu śmierci... Wysłuchaj mnie, a potem powiesz, czy doprawdy zgrzeszyłem? Powiesz mi, sam Bóg mi nie przebaczy, że przestąpiłem jego prawo. Bluźnię? O mój ojcze, mój ojcze, nie opuszczaj mnie jeszcze.

Przed kilku miesiącami sił mi zabrakło, odbiegło mnie zdrowie i odtąd czas mi się wydłużał jakby w przeciąg nowego życia. Nadużyłem sił swoich, aż do wyczerpania. Doktór w Londynie ma ciężką pracę, lecz nie ona podkopała mi zdrowie. Winne temu moje prace nad operacyą gardła: dała mi sławę, nosi moje imię, dała mi majątek. Ona uratowała od śmierci setki osób i tysiące jeszcze uratuje. A jednak ja, ja za jedno życie odebrane i w jakich warunkach...

Mój ojcze zlituj się! Opowiem ci wszystko do końca. Podlegałem strasznemu rozstrojowi nerwów. Smutek, przygnębienie, spleen, niepokojące prostracye, omdlenia, wewnątrz jakiś ogień palący, a jednocześnie nieustanne wrażenie zimna, oto co odczuwałem coraz silniej, coraz groźniej. Wiesz, czego dowodzą takie symptomaty... Śledziłem rozwój choroby i przepisałem sobie odpowiednie środki. Lecz ani hygiena, ani lekarstwa, elektryzacya, pożywienie odpowiednie nie zdołały rozproszyć śmiertelnych cieni, w które, przeciwnie, zapadałem coraz głębiej; dzień i noc ciążyły nade mną, zamieniając życie w męczarnię. Znałem przyczyny złego. Moje prace spowodowały tę gorączkę. Nie mogłem doprowadzić ich do pożądanego przeze mnie celu, ani też opuścić ich przed otrzymaniem ostatecznego rozwiązania. Nosiłem wodę przetakiem. Moja żona wezwała jednego z moich kolegów. Wiedziałem zgóry, co mi przepisze: absolutny spokój, sześć miesięcy przymusowego odpoczynku zdala od swoich, by nie nasuwać mi nawet pokusy do pracy umysłowej. Musiałem podróżować, zmienić otoczenie, tryb życia, zwyczaje, widzieć nowe twarze, nowe kraje, a jednocześnie oderwać się najzupełniej od swoich zajęć. To wszystko miało mi przywrócić równowagę i uwolnić od zaburzeń, spowodowanych niesłychanem napięciem systemu nerwowego. O tym wyjeździe myślałem jednak z trwogą, ze wstrętem nieledwie. Teraz, gdy wiem, co się stało, rozumiem jak ta bojaźń była słuszną. Rzucić istotę ogarniętą paroksyzmem newrozy na pastwę zmęczenia i kłopotów powierzchownych wprawdzie, lecz wciąż dolegających w długiej podróży, był to błąd, szaleństwo, niedorzeczność. Lecz nie zdawałem sobie z tego sprawy. Myślałem tylko o tym drogim domu, który trzeba będzie opuścić, w którym miałem zostawić najdroższe istoty, nadające wartość memu życiu. Po siedmiu latach małżeństwa żona nie była mi już tylko przedmiotem miłości, lecz czemś wyższem i lepszem.

Jej przywiązanie dało mi ten spokój dobroczynny, tę słodycz niewymowną, kto-

bnych rzeczach. „Pragnę — ciągnął dalej Björnson — aby wszystkie plemiona germańskie połączyły się. Moją największą myślą, najgorętszą nadzieją i ideałem przyszłości jest pokój powszechny, które go podtrzymanie ma posłużyć za cel zjednoczenia wszystkich Germanów. Ideałem męskim jest nie moralność wojenna, lecz wolność wypływająca ze sprawiedliwości. Mam nadzieję, iż ludzie więksi od nas, więksi swem braterstwem i miłością, urzeczywistnią ten ideał.“ Grobowa cisza zaległa salę. Oczywiście, te mrzonki o zjednoczeniu plemienia germańskiego w celu zbudowania państwa Chrystusowego na ziemi były nietylko wystosowane pod fałszywym adresem, a więc nie na miejscu, lecz i nie na czasie. W chwili obecnej bowiem Niemcy żyją w stanie upojenia, w które wprawił ich rezultat spisu ludności, dokonanego przed kilku tygodniami. Rezultat ten prześcignął najbujniejsze marzenia kulturtregerów. Już dziś łatwo obliczyć, kiedy Niemcy zaleją kulę ziemską. W przeciągu pięciu lat ostatnich, jak wykazuje przytoczony spis, wzrost demograficzny Niemiec wynosi 8%. Od 1895 r. ludność Rzeszy wzrosła o 4 miliony, a samych Prus o 2,6 milionów! Gdyby Prusy były podbiły Danię, nie zyskałyby tyle na przyroście ludnościowym, co drogą naturalną, drogą zwykłego rozmnożenia. Od r. 1816 ludność niemiecka wzrosła o 100%, a w r. 1950 będzie wynosiła 100 milionów. Francya wówczas w najlepszym razie może liczyć tylko połowę tej sumy, jakkolwiek w 1870 r. obydwa państwa dorównywały sobie pod względem demograficznym. Bajeczny rozrost narodowości niemieckiej przypieczętował losy Francyi. Obecnie na widowni historycznej działają tylko cztery wielkie mocarstwa: Niemcy, Anglia, Rosya i Stany Zjednoczone. Jeszcze więcej entuzyazmu budzą szczegóły powyższej statystyki. Dwie bowiem okoliczności wywołały nabrzmienie tułowia narodu niemieckiego: popierwsze zmniejszenie się śmiertelności, co świadczy o postępach hygieny społecznej i dobrobytu w Niemczech, powtóre osłabienie odpływu emigracyjnego, również przemawiające za ekonomicznie zadawalającym stanem kraju, który dziś może wyżywić więcej osób, niż lat temu 5, a tem bardziej 30. Jeszcze w r. 1883 ekonomista Rumelin przepowiadał niechybne przeludnienie Niemiec. Rozkwit, ich wzrastająca potęga wewnętrzna zadały kłam tym wróżbom. Słowem Hosanna!

Zdawałoby się, że w kraju tak szczęśliwym słońce zadowolenia nie powinno zachodzić, że jednakowo oświeca wszystkie warstwy ludności. A jednak nicowanie czynów rządu pruskiego widocznie przebrało miarę, skoro od dziesięciu lat w mowach urzędowych przewija się niby nić, że się tak wyrażę, czerwona myśl, iż krytyka podgryza korzenie owego rozłożystego dębu, zwanego państwem niemieckiem. Tak już w 1892 r. kazano wszystkim niezadowolonym „otrząsnąć z obuwia pył ziemi niemieckiej.“ Wskutek tego ludzie prawomyślni i prawowierni nosili buty zakurzone, a Schutzmanowie aresztowali kilku szlifibruków o wprost rewolucyjnie wyglansowanych kamaszkach.

W r. 1895 podczas 25-letniego jubileuszu istnienia Rzeszy niemieckiej, zwrócono się do deputacyi burszów niemieckich, aby starali się przyczynić do zmniejszenia legionów osób zrzędzących (Nörgler). Burszowie w dowód nieposzlakowanej lojalności upili się tego samego dnia jak bele. W ostatnich tygodniach dwoma kartaczami krasomówczymi godzono w obóz niezadowolonych. W pierwszej mowie zaznaczono, iż wskutek demoralizacyi młodzieży urok powag społecznych niknie, a nadto że krytyka zbytnio zagnieździła się w umysłach. W drugiej wygłoszonej z okazyi przeprowadzki jednego z pułków wojskowych do nowych koszar, zbudowanych niby twierdza w sercu dzielnicy rządowej, wyrażono nadzieję, iż gdyby kiedykolwiek w przyszłości Berlińczycy zapomnieli, że są poddanymi rządu pruskiego, wtedy pułk huzarski „bagnetami“ wyrwie ich z tego roztargnienia. Łatwo zrozumieć, iż słów tych nie należy brać na wagę złota. Nigdy nie dojdzie do tego, aby wyrznięto cały Berlin.

A jednak nim przebrzmiały liczne komentarze krytyk ludzkich do urzędowej krytyki, obóz niezadowolonych wzrósł o nową grupę. Są nią niemieccy historycy filozofii. Ludzie ci, którzy jako wcielenie społecznego *plusquamperfectum*, zwykle zapewniali swych rodaków, iż Niemcy to „kraj, gdzie cytryna dojrzewa,“ oczywiście nigdy nie ośmielali się szemrać w największej głębi swego filozoficznego serca. Wyjątek stanowi słynny historyk filozofii, Kuno Fiszer. W przeszłym roku np. skarcił rząd za to, iż zamiast, jak tego żąda Plato, zrobić filozofów swymi tajnymi doradcami, mianuje ich tylko... tajnymi radcami. Obecnie przecież zapanowało powszechnie rozgoryczenie w szeregach Klio filozoficznej z powodu krzywdy wyrządzonej Kantowi. Mędrzec królewiecki, pomimo iż nie wygłosił ani jednej mowy przeciwko Chinom, jest, jak wiadomo, najgenialniejszym myślicielem narodu niemieckiego i z tej racyi należał mu się oddawna pomnik w stolicy pruskiej. Rząd przez pewien czas nosił się z myślą uwiecznienia Kanta w uniformie wojskowym, aż nareszcie nadarzyła się znakomita okazya publicznego wystawienia go zgodnie z prawdą historyczną w ubiorze cywilnym. Przed kilku laty mianowicie dwór pruski, wzruszony datkiem berlińskiego zarządu miejskiego na kościół, który prawdopodobnie jak i inne będzie stał pustkami, postanowił odpłacić się. W „Alei zwycięztwa“ w Thiergartenie miały stanąć pomniki wszystkich kurfürstów brandenburskich w otoczeniu ich przyjaciół i doradców. Przy tej sposobności umieszczono Kanta jako „Tami de Beethoven“ u stóp Fryderyka Wilhelma II. Popierwsze — zaznaczają historycy — ów władca nie miał żadnych przyjaciół, gdyż jako spirytysta obracał się przez całe życie w świecie duchów. Powtóre Fryderyk Wilhelm II był zaciętym wrogiem Kanta. Ówczesny minister Waltersdorf radził początkowo zakazać mieszczaninowi Kantowi wszelkiej bazgraniny, światło bowiem wychodzi nie z Królewca, lecz z Poczdamu. Zaniechano wszakże wandalskiego zakazu w przypuszczeniu, iż trudne teoryo Kanta nie przenikną do szerszego ogółu. Filozof zamiast być wdzięcznym za szczędzenie jego osoby, odważył się rozpocząć druk wolnomyślnego dzieła p. t. „Religia w granicach wyłącznych rozsądku“ („Religion innerhalb der blossen Vernunft).

Rząd kazał przedstawić pracę fakultetowi królewieckiemu, aby orzekł, czy jest dostatecznie dojrzała. Fakultet przyłożył swoją plombę. Rząd, nie mogąc sobie dać rady z wichrzycielem, bez ceregieli rozkazał, aby zaprzestał pisania prac na tematy religijne. Co począć? Trudność polegała nie na posłuszeństwie, ale na tem, jak pogodzić tę uległość z „Krytyką praktycznego rozsądku.“ Poczciwy Zampe, sługa Kanta, zauważył, iż pan jego jest ciągle pochmurny. Nareszcie twarz Kanta rozjaśniła się. *Eureka!*—zawołał filozof i skreślił następujące słowa na kartce, przechowywanej w tutejszej bibliotece królewskiej: „Odwoływanie i wypieranie się przekonań jest nikczemnością, ale... wszak nie jest obowiązkiem publicznie ogłaszać wszystko, co jest prawdą.“ Myśl godna

---

rą sama obecność istoty pełnej odwagi, poświęcenia, tkliwości daje człowiekowi wyczerpanemu pracą. Drżałem na myśl, że tam, dokąd pojadę, nie będę już jej miał przy sobie, ona zawsze odgadywała moje chęci, ubiegała moje pragnienia. Było to słabością z mojej strony, mówiłem to sobie pociechu, lecz miałem jeszcze drugą mniej dobrze mi znaną. Mój syn, mój synek sześcioletni był dla mnie zawsze przedmiotem najgorętszej miłości. Miłość ojcowska może zabić wszystkie namiętności. Ta miłość dla jedynego dziecka tyranizowała mię srożej od pracy zaciekłej, a raczej jedna i druga zlewały się w nierozdzielną całość. Instyktowi ojca zawdzięczałem wiedzę lekarza.

Mój syn miał gardło niezmiernie delikatne. Uratowałem go po raz pierwszy, gdy był bardzo malutkim. Kiedy miał lat cztery wyrwałem go śmierci. Ilekroć wracałem mu życie, tylo razy zwiększała się moja miłość do niego. Wiedziałem jednak z całą pewnością, że złe uniknione powróci i prawdopodobnie uderzy jeszcze z większą siłą.

Więc dzień i noc oddawałem się nadludzkiej pracy, by przygotować się na przyjęcie wroga i zwyciężyć go ostatecznie. Żaden niewolnik tak ciężko nie pracował. Nie odpoczywałem odtąd nigdy, skracałem godziny snu, pracowałem nawet w drodze, między odwiedzinami u moich pacyentów. Choroba mogła nadejść lada chwila. Musiałem być uzbrojony, przygotowany na jej przyjście.

Tymczasem zło milczało. Mój jedynak sił nabierał, a moje odkrycie już wyrobiło mi sławę. Delikatność gardła mego syna pchnęła mię na drogę badań. Jeżeli opanowałem straszną tajemnicę, to jedynie kierowany miłością niezmierną dla tej najdroższej istoty; ona była mi podporą i siłą.

Musiałem okupić to zwycięztwo. Zniszczone zdrowie wymagało, abym opuścił to wszystko, co kocham. O! gdybym mógł był zabrać z sobą żonę i dziecko, czyż teraz umierałbym z rozpaczy przy tobie, mój ojcze!

Wyjechałem nazajutrz po rocznicy urodzin mego syna; przed samym wyjazdem zdawało mi się, że dziecko pobladło, lecz tyle razy trapiły mię już niepokój i trwoga o jego zdrowie, na szczęście bezpodstawnie, że nie uległem teraz szalonej chęci odłożenia mego wyjazdu. Już i tak zbyt długo się wahałem. Zresztą zostawiłem jak najdokładniejsze informacye memu koledze Granvile von Wenman. Przewidziałem starannie wszystko, co zdarzyć by się mogło. W takim wypadku tak miał postąpić, dany symptomat powinien zwalczać taką metodą. W razie niebezpieczeństwa miał mi donieść o wszystkiem natychmiast, najkrótszą drogą. Nic wtedy nie wstrzymałoby mojego powrotu: odległość, stan zdrowia, kwestya życia i śmierci.

Wenman nie mógł wstrzymać uśmiechu litości, widząc, z jak chorobliwą pieczołowitością przewiduję najrzadsze komplikacye. Nie zważałem na to — on nie miał dzieci! Zdecydowałem się wreszcie wyjechać i, zanim mój jedynak rano oczy otworzył, wyruszyłem z domu.

Idąc za radą Wenmana, miałem naprzód zwiedzić Marokko. Zwyczaje wschodnie, jaskrawe ubiory, wierzenia muzułmańskie i izraelskie, forma rządu i życie społeczne jakby unieruchomione od czasów Abrahama, wszystko to miało otoczyć mię atmosferą, zdolną przywrócić sprężystość i siłę nerwom steranym pracą, cywilizacyą naszego gorączkowego wieku.

Fatalność mnie ścigała! Żaden kraj chyba nie zdołałby tak rozwinąć mojej gorączki i niepokoju. Czemuż nie udałem się raczej do jakiej krainy martwej, na pustynię zapomnianą, zamiast w te strony przeklęte!..

Wysłuchaj mię, mój ojcze, zaklinam cię! . Popłynąłem do Gibraltaru; gdy sta-

zaiste mędrca, szkoda tylko, że nieznana ani Chrystusowi, ani Husowi. Po śmierci Fryderyka Wilhelma III mieszczanin królewiecki natychmiast rozpoczął dalszy druk swych prac wolnomyślnych, a kto go chce dziś oglądać, niech przyjrzy się pomnikowi Fryderyka Wilhelma III. Władca z piką w jednej ręce, szablą w drugiej, oparty o lufę armaty, wsłuchuje się nabożnie w religijne rozprawy swego przyjaciela i doradcy, Kanta, umieszczonego hen na samym dole pomnika. Nieścisłość historyczna oburzyła niesłychanie historyków filozofii. Tylko Kunon Fiszer jest dumny z tego, iż nareszcie jeden filozof przynajmniej, jak sobie tego życzył Platon, awansował na doradcę i przyjaciela władcy. *H. F.*

ALKOHOLIZM I WALKA Z NIM.

I.

Uprzytomnijmy sobie, z jakim wrogiem mamy do czynienia. Wszyscy lekarze, zebrani w znacznej liczbie na kongresie wiedeńskim, między którymi było wielu wybitnych, zgadzali się zupełnie w traktowaniu wszelkiego alkoholu czy to z metylicznemi nieczystościami (fuzlem), czy normalnego, czystego etylicznego (rektyfikowanego), czy w wódce, zawierającej go 25 do 50%, czy w winie — 10%, czy w piwie — 4%, czy wszelkiego rodzaju miody, jabłeczniki itp., jako *szkodliwej trucizny*. Nie było ani jednego lekarza, ani jednego członka kongresu nietylko między zwolennikami zupełnej abstynencyi, ale i między stronnikami umiarkowania tylko, któryby przemawiał choćby najłagodniej za dawniej rozpowszechnionymi a dziś jeszcze przez wielu lekarzy podtrzymywanymi przesądami, jakoby alkohol we wszelkiej postaci miał jakąkolwiek wartość odżywiającą, wzmacniającą lub rozgrzewającą; przeciwnie, prof. dr. Meinert, delegat rządu saskiego, wystąpił z namiętną napaścią na kolegów - lekarzy, którzy przez słabość względem pacyentów tkwią w tych przesądach i sami dają piciem zgubny przykład, a jeśli wystąpienie to wywołało protesty, to tylko ze względu na formę namiętną i na zawarte w niem uogólnienie, ubliżające dla stanu lekarskiego. Czy obrońcy alkoholu z pomiędzy lekarzy byli nieobecni przypadkowo, czy też dlatego, że czuli słabość swych dowodzeń i nie chcieli bronić publicznie złej sprawy, o tem, oczywiście, sądzić nie będziemy, i wogóle całą tę lekarską, specyalną stronę sprawy traktujemy tutaj tylko, jako niezbędny, ale bardzo treściwy wstęp: stwierdzamy więc jedynie, że nikt nie przeczył prof. dr. Meyerowi z Marburga, kiedy ten wykazywał, że alkohol ułatwia wprawdzie chwilowo czynności mięśni, lecz faktycznie je osłabia; że daje złudzenie ciepła, lecz faktycznie temperaturę ciała nieraz obniża; że czynności trawienia nie pomaga, lecz ją utrudnia, a jeśli czasem do wzbudzenia apetytu przyczynić się może, to w każdym razie powinien być traktowany przez lekarza, jako niebezpieczne lekarstwo. Zdaniem prof Kassowitza i Forela, alkohol, choć chorobliwie nagromadza tłuszcz, ale faktycznie białka nie zaoszczędza, a więc nie działa odżywiająco; w piwie są pierwiastki odżywiające niealkoholiczne, ale za nie płaci się tu 10 do 25 razy drożej, niż w chlebie lub cukrze. Prof. Weichselbaum naocznie rysunkami i preparatami okazał, jakie chorobliwe zmiany sprowadza alkohol w żołądku, naczyniach krwionośnych, sercu, wątrobie, nerkach. Prof. Gruber dowodził, że alkohol wywiera szkodliwy wpływ na przebieg chorób zaraźliwych i wogóle osłabia odporność organizmu na zarazki. Znany psychiatra szwajcarski, prof. Forel, zebrał statystykę, dowodzącą, że zarażanie się chorobami wenerycznemi następuje przeważnie w stanie nietrzeźwym; zdaniem dr. Beissiera, to jest przyczyną równoległości linij statystycznych wzrostu ataksyi i alkoholizmu. Według urzędowych i klinicznych obliczeń w Pradze czeskiej (docenci dr. Matiegka i Weleminsky), 12% chorób wewnętrznych mężczyzn dorosłych ma źródło w użyciu alkoholu; śmierć nienaturalna i samobójstwo zdarzają się znacznie częściej u alkoholików. Doświadczenia angielskich towarzystw ubezpieczeń na życie dowodzi wreszcie wogóle, że alkoholicy żyją krócej, to też muszą oni płacić wyższe premia asekuracyjne. Śmiertelność u robotników w browarach, którzy piją bardzo wiele, jest tak wysoka, jak w sycylijskich kopalniach siarki, a kelnerów — niewiele mniejsza.

Szczególnie wielkie wrażenie wywarł referat profesora wiedeńskiego, dr. M. Kassowitza, o działaniu alkoholu na dzieci: w całym szeregu silnie umotywowanych zdań prelegent wykazywał, jak strasznie szkodliwy wpływ na fizyczne i umysłowe zdrowie dziecka wywiera alkohol nietylko w dużych dawkach, ale nawet przy umiarkowanem piciu wina i piwa lub w dawkach koniaku np., uważanych za lecznicze. Zdaniem prelegenta, dzieciom i młodzieży szkolnej nie należy nigdy dawać alkoholu, ani w zdrowiu, ani w chorobie.

Dr. R. Wlassak mówił o doświadczeniach psychiatry heidelberskiego, prof. Krägelina, które dowodzą, że już przy małych dawkach alkoholu, odpowiadających $^1/_3$ litra piwa, zmniejsza się zdolność do najprostszych czynności umysłowych, np. do dodawania liczb lub powtarzania treści przeczytanej, i to zarówno u zupełnych abstynentów, jak u młodzieńców, używających normalnie, lecz umiarkowanie, napojów gorących. Psychiczne oddziaływanie alkoholu wyraża się drastycznie w dwuch objawach: przestępstwie i obłędzie lub wogóle nienormalności umysłowej. Forel przytacza, że w Szwajcaryi alkohol jest przyczyną $^1/_3$ ogólnej liczby samobójstw i waryacyj u mężczyzn, a w 15 większych miastach Szwajcaryi $^3/_4$ zbrodni i wykroczeń przeciw osobom sprowadza się do wpływu alkoholu. W Austryi Dolnej obliczono w ostatnich latach, że połowa pacyentów w zakładach dla chorych umysłowo zawdzięcza toż alkoholowi swą chorobę. Dr. Legrain, dyrektor zakładu leczniczego dla alkoholików w Ville-Evvard, badając swoich recydywistów, dochodzi do wniosku, że „alkoholik ma specyalną dążność do buntu przeciw prawom." Dr. Löffler, sekretarz sądowy w Wiedniu, który zebrał statystykę odnośną, wyraża pogląd podobny: pijak przedewszystkiem zda się tracić szacunek dla wszelkiego rodzaju autorytetu, z czego wynika, że 55% obraz majestatu, 50% bluźnierstw przeciw Bogu w Wiedniu popełniono w stanie nietrzeźwym; stosuje się to do 75% oporów władzy, tyluż wykroczeń przeciw obyczajności, 63% wypadków niszczenia cudzej własności itd. Dr. med. G. Benne ze Szlezwika usiłuje nawet dać ogólne teoretyczno - psychologiczne objaśnienie tego związku między pijaństwem a przestępstwem: przestępstwo, zdaniem jego, zwęża sferę świadomości, a więc działa na sposób suggestyi, której głównym ośrodkiem stają się głęboko zwykle ukryte egoistyczne popędy, a słabsze nakazy i zakazy społeczne tracą swą siłę.

Tu się ma do czynienia z alkoholikiem ostrym, z pijaństwem naocznem, ale często zbrodnia, jeszcze częściej — obłęd, są

---

tek odbił od brzegu, długi czas wpatrywałem się w portową latarnię morską, której światło zwolna tonęło w morzu i wtedy czułem, że w powodzeniu niema pociechy, w rozgłosie — słodyczy, w pracy — zadowolenia, w bogactwie — pewności. Jedno tylko godziło mię z losem: oto że w pracy, którą podjąłem, nie kierowała mną chęć zdobycia sławy, majątku, ale jedynie najczystsze z ziemskich uczuć— za takie je miałem przynajmniej.

Przez trzy pierwsze dni swojej podróży nie przemówiłem słowa do nikogo. Czwartego dnia zbierało się na burzę. Podróżni z pobladłemi twarzami spoglądali w niebo, z którego spaść na nich mogło nieszczęście. Majtkowie uwijali się po okręcie pod kierunkiem kapitana i jego pomocników, którzy na zapytania wylękłych odpowiadali pocieszającem, wesołem słowem, lecz ich spojrzenia, wyraz twarzy kłamały ustom. Wtedy to stanął przy mnie jeden ze współtowarzyszów podróży, którego dotąd nie zauważyłem i zaczepił jakąś okolicznościową uwagą; jego twarz mnie zastanowiła. Należał do tych ludzi, których nieprzeparcie pociąga ku sobie niebezpieczeństwo. Śmiał się, oczy mu błyszczały a jego własne słowa pełne życia, które o nic nie dbało zdawały się sprawiać mu rzetelną przyjemność. Miał temperament rumaka bojowego. Był to brunet wysoki, szczupły i zgrabny. Nad gęstą czarną brodą rysowały się ruchliwe usta; nozdrza mu drgały, oczy ciskały płomienie; żył każdym fibrem, pulsował niepohamowaną energią. Wyglądał na lat trzydzieści kilka, w rzeczywistości miał ich dwadzieścia cztery. Był to Amerykanin, podróżujący dla miłości przygód.

W nocy przez sześć godzin szalała burza. Dowiedziałem się o tem dopiero nazajutrz rano, gdyż pomimo grożącego niebezpieczeństwa zażyłem wieczorem zwykłą dozę usypiającego środka i zasnąłem. Rano wiatr przycichł, a znużone fale ledwie kołysały okrętem. Ślad burzy pozostał tylko na niebie pokrytem ciężkiemi, poszarpanemi chmurami.

Pierwszą osobą, którą spotkałem po wyjściu z kajuty, był Amerykanin. Spędził noc na pokładzie. Dowiedziałem się od niego, że wicher strącił jednego z majtków z wysokości masztu i wrzucił w morze. Daremnie chciano go ratować. Morze uniosło swoją zdobycz i statek popłynął dalej. Ten wypadek zasmucił mię głęboko. Zdawało mi się, że widzę rozpaczliwe spojrzenia majtka unoszonego przez rozwścieczone fale, jego wzniesione błagalnie ramiona, gdy zwolna wciągała go w siebie toń śmierci. A ja spałem, gdy rozgrywał się ten ponury dramat; było dla mnie w tej myśli coś potwornego.

Co wtedy mówiłem, nie pamiętam, musiałem jednak dość silnie wyrazić moje wzruszenie, bo Amerykanin długo usiłował mnie przekonać, że czuję opacznie, wbrew istniejącemu porządkowi rzeczy.

Czemże jest życie? Zbyt wiele wagi mu nadawałem. Poszanowanie nowożytne istnienia jednostki przytłumiało najszlachetniejsze instynkty natury ludzkiej. Życie nie jest największą częścią tego, co posiadamy. Obowiązek, sprawiedliwość, prawda — o to dbać należało.

Rozmowa nasza potrąciła wkrótce o tematy szersze i niebezpieczniejsze. Amerykanin stał twardo przy swojej teoryi. Wojna pożądańszą była nieraz od pokoju, rzeź jawna od spokojnego zepsucia. Gdybyż jaki powiew średniowieczny poruszył naszą epokę anemii fizycznej i moralnej!

Rozmowa zeszła potem na kwestyę morderstwa. Amerykanin pochwalał teoryę Sterna. Prawa rządzące światem nowożytnym nie uznają różnicy między zabójstwem uczciwego człowieka, a usunięciem z powierzchni ziemi łotra, i to jest ich wielkim błędem. Takie rzeczy należy jednak rozpatrywać z uwzględnieniem wartości ofiary, a trzeba już być szaleńcem by widzieć zbrodnię w zabójstwie, spełnionem

wynikami alkoholizmu zbrodniczego, oraz odległego, czyli dziedzicznego działania trucizny alkoholowej. Psychiatra z Gracu, dr. Anton, w odczycie swym „O alkoholizmie i dziedziczności,“ cytował cyfry dr. Bourneville'a, dyrektora zakładu dla dzieci-idyotów pod Paryżem: na 1000 wypadków bywa 471 alkoholików-ojców, 84 matki, w 65 pijaństwo u obojga rodziców.

K. Radosławski.

LINGVO INTERNACIA ESPERANTO

i znaczenie jego dla przyszłości *).

Kwestyą języka międzynarodowego od 1800 już lat mniej więcej zajmowały się najpotężniejsze nawet umysły, że przypomnimy tu tylko Bacona, Descartes'a, Leibnitza, a w wieku bieżącym genialnego J. Grimma i znakomitego profesora uniwersytetu oksfordzkiego, Fryderyka Maksa Müllera. Utworzono też w ciągu ostatnich dwóch wieków niemało języków sztucznych, ale między tymi „trudnoby było — powiada Jan Karłowicz — wymienić choć jeden, któryby miał jakąkolwiek wartość *praktyczną*. Były to bowiem albo układy pasigraficzne, zrozumiałe tylko w czytaniu, lub języki zaledwie przystępne dla samych tylko umysłów wybranych czy szczególnie uzdolnionych, albo też poprostu był to ten lub ów język żyjący, mniej lub więcej zręcznie przekręcony *ad hoc*“ **).

Znajomość tymczasem bodaj najgłówniejszych języków europejskich stawała się dla każdego rzeczą tak niezbędną a połączoną z tak niezwykłemi trudnościami i z tak ogromnym uszczerbkiem czasu dla innych dziedzin wiedzy, że coraz bardziej zaczęto nad tem przemyśliwać, by raz nakoniec utworzyć język, któryby odpowiadał wszelkim w tym względzie wymaganiom, a przedewszystkiem, by język ten:

1) Tak dalece był łatwym, iżby dokładne jego wyuczenie się stało się dla każdego igraszką, a odpowiednio do zdolności danego indywiduum, zajęło mu najwyżej kilka do kilkunastu dni czasu.

2) Aby każdy, kto z tym językiem obeznał się choć cokolwiek, mógł w nim natychmiast korespondować lub ustnie porozumiewać się z cudzoziemcami, i to bez względu na to, czy ci cudzoziemcy znają już ten język lub nie, i wreszcie:

*) Przed kilkunastu laty, w epoce narodzin języka „Esperanto,“ zamieściliśmy krytyczny o nim artykuł. Dajemy dziś głos propagatorowi jego u nas, nie przesądzając samej sprawy i wartości pomysłu *Red.*

**) *Ateneum*, luty, 1886, str. 337.

3) Aby język taki nietylko był giętki, dźwięczny, piękny, ale i nie mniej bogaty od najbardziej rozpowszechnionych języków nowożytnych, a tem samem nadający się do celów nietylko handlowo-przemysłowych, lecz i naukowo-literackich.

Wymagania to ze wszech miar wygórowane i zdawać by się mogło, niepodobne nawet do urzeczywistnienia. Stawiając je też przed laty przyszłym twórcom języka międzynarodowego, ani przypuszczano chyba na seryo, iż znajdzie się wkrótce istotnie twórca tej miary, który potrafi podołać tak olbrzymiemu zadaniu. A jednak... znalazł się istotnie i w sposób iście zdumiewający i prosty, rozwiązał te trudności. Niezwykłym tym uczonym jest znany pod pseudonimem dr. Esperanto, a zamieszkały w Warszawie dr. Ludwik Zamenhof. I dzięki to właśnie temu dzielnemu pionierowi szczytnej idei Esperantyzmu, ludzkość pozyskała dziś język tak zdumiewającej łatwości, tak miłej dla ucha harmonii i tak niezmiernego bogactwa odcieni i form, że pominąwszy już jego zastosowania do celów naukowych i literackich, dość tylko wymienić jedno z najpraktyczniejszych, tj. zastosowanie go do korespondencyi we wszelkich możliwych stosunkach międzynarodowych.

„Język Esperanto zbudowany jest zresztą w taki sposób, że dla posilkowania się nim, nie potrzeba się go nawet uczyć. Otrzymawszy list w języku Esperanto, choćby się najmniejszego o nim nie miało pojęcia, bierze się tylko do rąk odpowiedni „Słowniczek,“ który bez względu na jego nadzwyczaj mało rozmiary i nader niską cenę, jest tak obmyślany, iż przedstawia najzupełniejszy klucz do wszystkiego, co kiedykolwiek kto w tym języku napisał lub napisze.“

Po szczegóły odsyłamy ciekawych do bardzo zresztą krótkich podręczników, traktujących o zasadach języka, który bez względu na to, iż istnieje od niedawna, znalazł już mnóstwo zwolenników we wszystkich częściach świata i to zarówno w sferach mniej wykształconych, jak i w naukowych. Pomijając wielu profesorów uniwersytetu i innych wyższych zakładów pedagogicznych, pomijając mniej głośnych literatów i dziennikarzy wszech narodów i krajów, których adresy spotykamy w „Spisach Esperantystów,“ wymienimy tu tylko bodaj kilka nazwisk powszechnie znanych uczonych i dygnitarzy, którzy nie wahają się zaliczać sami do nader już zresztą poważnego zastępu najszczerszych zwolenników języka. Oto ich imiona: prof. Fryderyk Max Müller, Lew hr. Tołstoj, dr. Cl. Adelskold, prof. S. Robin, kardynał Langenieux i in.

Fryd. Max Müller powiada: „...Zdarzało mi się niejednokrotnie wyrażać swoje zdania w kwestyi wartości różnych prób stworzenia języka wszechświatowego. Każda z nich ma swoje zalety i braki, lecz język Esperanto muszę bezwarunkowo postawić na najwyższem miejscu wśród jego współzawodników.“ (Oxford, 16 sierpnia 1894).

Nawiasem jednak mówiąc, faktycznych „współzawodników“ język Esperanto nie miał nigdy i nigdzie, wszelkie bowiem inne „współzawodniczące“ z nim „próby“ języka wszechświatowego były nie czem innem, jak tylko teoretycznymi projektami, dalekimi od możności urzeczywistnienia się.

Lew hr. Tołstoj, odpisując na wystosowany do niego zbiorowy list, mówi: „Łatwość nauczenia się tego języka jest istotnie tak wielka, że otrzymawszy „Słowniczek“ i artykuły, po upływie nie więcej jak dwóch godzin zajęcia się nim, byłem już w stanie zupełnie swobodnie czytać i rozumieć po esperancku. W każdym razie ofiara, jaką poniesie ktokolwiek, poświęciwszy od kilku do kilkunastu dni czasu na gruntowną naukę języka Esperanto, będzie tak nieznaczną, a rezultaty stąd otrzymane tak olbrzymie, że niepodobna nie ulec tej pokusie. Zawsze byłem przekonany, że niema bardziej chrześciańskiej nauki, jak znajomość języków, taka znajomość, która umożebnia stosunki z jak największą liczbą ludzi. Niejednokrotnie widziałem, jak ludzie stawali wobec siebie z nieufnością i nieżyczliwością, wypływającą jedynie z mechanicznej przeszkody: wzajemnego nierozumienia się. Dlatego też uczenie się języka Esperanto i rozpowszechnianie go jest niewątpliwie czynem arcy-chrześciańskim, bo urzeczywistniającym istnienie Królestwa Bożego na ziemi, tego dzieła, które jest głównym i jedynym celem ludzkości.“

Deputowany i członek Akad. nauk w Sztokholmie, dr Cl. Adelskold, wezwany przez klub Esperantystów w Upsali do wygłoszenia opinii o języku Esperanto, nadesłał do tegoż klubu list następujący:

„Zaszczycony wezwaniem do wydania mej opinii o języku międzynarodowym Esperanto, z przyjemnością wypełniam wasze żądanie. Mógłbym tu wprawdzie powtórzyć tylko to, co powiedziało już tylu znakomitych mężów o niezliczonych korzyściach, jakie on może przynieść ludzkości, ale poczuwam się do obowiązku wyrazić o nim własne me przekonanie, oparte na osobistem sprawdzeniu niezmiernych jego zalet, jak również cudownej jego prostoty, łatwości i praktyczności. Otóż język Esperanto, dzięki bogactwu swych odcieni w wyrażaniu wszelkiej myśli i harmonijnej swej dźwięczności nadaje się, mojem zdaniem, nietylko do różnych celów naukowo-literackich, lecz i do poezyi i do śpiewu. To też genialny jego twórca, dr. Ludwik Zamenhof, zasłużył sobie niewątpliwie na gorącą wdzięczność ludzkości.“

---

dla własnej obrony. Nawet zniewieściałe prawa mego kraju usprawiedliwiały samoobronę; nazywać to winą dowodziłoby jedynie uczucia równie chorobliwego jak szkodliwego.

Taki pogląd na rzeczy był mi wstrętny i starałem się z kolei przekonać Amerykanina. W każdem życiu ludzkiem tkwiła zasada święta, której nikt nie miał prawa naruszać. Co do rozwoju świata, spoczywa on w rękach Najwyższego, mieszanie się ludzi jest tu czczą igraszką. Amerykanin nie zmienił jednak zdania. Życie ludzkie należało bez wahania poświęcić dobrej sprawie. Co było prawdą dla narodu, było nią również dla jednostki. Trzeba mieć zawsze cel na widoku. Przeczyłem mu z całych sił, nie wiedząc jakie spustoszenia sprawiły jego argumenty w mej duszy. Teraz, aż zanadto dobrze widzę jak wgłębiły się we mnie te niebezpieczne doktryny. Amerykanin płynął, tak jak ja, do Marokko. Chociaż był jeszcze bardzo młody, wiele już podróżował po Wschodzie. Znał dokładnie Egipt, Arabię, Syryę, Palestynę. Bardzo starannie przygotował się do podróży po Marokko, uczył się nawet języka marokańskiego; jest to rodzaj dyalektu arabskiego, znał też język hiszpański, by módz rozmawiać się z żydami, gęsto osiadłymi w Marokko.

— Wejdę do pałaców—mówił mi—i do więzień, do meczetów,“ do nor i domów świętych; wejdę nawet do haremów, jeśli zdołam oszukać eunuchów i akuszerki.

Choć mało znałem zwyczaje miejscowe, zrozumiałem, że mój towarzysz podróży może się narazić na wielkie niebezpieczeństwa.

— Możesz pan nieszczęście ściągnąć na swoją głowę—rzekłem.

— Wiem o tem, odparł, ale się z niego wywinę.

— Czy masz pan prawo dla własnej przyjemności mając bez potrzeby przesądy, zabobony, fanatyzm tego kraju?

— Uwaga słuszna, rzekł. Jeśli mnie jednak co złego spotka w jakiej wyprawie, to już nie własnej przyjemności lecz życia lub wolności bronić będę zmuszony.

— A w takim razie nie cofnie się pan przed żadnym środkiem obrony?

— Nie!

Roześmiałem się, nie wierząc w to co mówił. On roześmiał się także. A jednak w głębi serca wierzyłem mu... Zwolna, nieznacznie, bezwiednie wchłaniałem w siebie truciznę jego myśli, która sączyła się aż w głąb mego jestestwa.

Dopływaliśmy do Tangeru, gdy znowu zagroziła nam burza. Od Gibraltaru płynęło z nami kilkudziesięciu Maurów; teraz zauważyłem, że burza wcale ich nie obchodzi.

— Ci ludzie są niezmiernie odważni, rzekłem, albo też nie mają pojęcia o majestacie śmierci.

— Ani jedno ani drugie—odparł Amerykanin; są po prostu fatalistami z natury i z wiary.

„Albo coś jest przeznaczone albo nie przeznaczone; czego unikniesz dziś, spotka cię jutro.“

— Jest w tem pewna odwaga.

— I wiele tchórzostwa — dodał.

Zatrzymaliśmy się w Tangerze. Tu mój towarzysz pokazał mi mnóstwo szat wschodnich, turbanów, fezów, pasów, koranów, różańców, pantofli itd.

— To wszystko, rzekł, pozwoli mi wtargnąć bezpiecznie nawet do haremów; dyabeł by mnie w tem przebraniu nie poznał!

— Strzeż się pan — rzekłem.

Lecz on zbył mnie śmiechem.

(C. d. n.)

Niezależnie od wyżej wspomnianego klubu upsalskiego, założono jeszcze w swoim czasie stowarzyszenia lub kluby esperantystów: w Brukselli, w Epernay (Francya), w Erlangen, we Fryburgu, w Göteborg (Szwecya), w Krasnojarsku, Monachium, Norymberdze, Nykjöbing (Dania), Odesie, Paryżu, Petersburgu itd.

Bibliografia dzieł i artykułów, napisanych w języku lub o języku Esperanto, jest już tak dalece obszerną, że zaledwie zdołałaby się zmieścić w jednym dużym tomie. Samych „Podręczników“ do nauki języka Esperanto i innych broszur propagacyjnych dla różnych narodowości, wyszło dotąd kilkadziesiąt, a mianowicie: dla Anglików 6, dla Bułgarów 3, dla Czechów 1, dla Duńczyków 1, dla Estończyków 1, dla Francuzów 5, dla Hiszpanów 3, dla Holendrów 1, dla Litwinów 1, dla Łotyszów 1, dla Niemców 11, dla Polaków 5, dla Portugalczyków 4, dla Rosyan 13, dla Rumunów 1, dla Szwedów 8, dla Węgrów 1, dla Włochów 1, dla Żydów 3.

Różnych tłomaczeń na język Esperanto, których większość drukowały pisma esperantyczne, dokonano dotąd z następujących autorów: Andersena, Asnyka, Byrona („Kain“ i in.), Dickensa, Ezopa, Goethego („Faust,“ „Die Geschwister“ i in.), Heinego, Herdera, Homera („Iliada“), Hugo'na, Konopnickiej, Krasińskiego, Kryłowa, Lermontowa, Longfellowa, Mickiewicza, Moore'a, Nadsona, Odyńca, Petöfiego, Prusa, Puszkina, Shakespeare'a, Sienkiewicza, Słowackiego, Tołstoja, Uhlanda i wielu innych. Niektóre z tych tłomaczeń, jak np. słynny szekspirowski „Hamlet“ — w przekładzie dr. L. Zamenhofa — należą nawet do arcydzieł w swym rodzaju. Przetłomaczono też wiele ksiąg z Pisma Świętego, oraz kilka pieśni religijnych, które śpiewano w kościołach, równie jak głośniejsze utwory dramatyczne w tym języku wystawiano na deskach teatralnych.. Zastosowano nadto język Esperanto do użytku stenografów, cyklistów i filatelistów. Czasopisma specyalne, poświęcone idei esperantyzmu, noszą tytuły: *La Esperantisto*; *Lingvo Internacia*; *L'Espérantiste* (organ *de la Societo por la Propagando de Esperanto*, wydawany w Epernay, we Francyi, w języku francuskim i w Esperanto); *La Biblioteko de la Lingvo Internacia Esperanto*, *Mondlingvisto* i *L'Espero*.

Niektóre z poważniejszych pism europejskich, jak np. wydawany w kilku językach pod redakcyą prof. Emila Lombard w Paryżu, miesięcznik naukowy *L'Etranger* (wychodzący dziś pod nazwą *Concordia*), od r. 1895 umieszcza w każdym numerze artykuły pisane w języku Esperanto, a naczelny redaktor czasopism paryskich *La Revue de Beaux Arts et des Lettres*; *Le Grand Sténographe* i *La Gazette Sténographique* — H. Hamel, wydawał przez czas dłuższy przy dwu ostatnich czasopismach oddzielny dodatek p. t. *L'Espérantiste*, aż do chwili ukazania się w Epernay, pod tymże tytułem, samoistnego organu esperantycznego. Dziennik brukselski, *Le Petit Bleu*, również umieszcza, w niedzielnych swych numerach ilustrowanych, artykuły w tym języku.

Propagandy wreszcie idei esperantycznej dopełniają: nader liczne w różnych krajach odczyty, prelekcye, dzieła, artykuły itd., pisane lub wygłaszane przez wielu, częstokroć bardzo wybitnych nawet, uczonych i literatów.

Jak więc widzimy z wyżej przytoczonych faktów, język Esperanto, dzięki niezrównanym swym zaletom, znajduje w wielu krajach coraz to więcej najgorętszych zwolenników. Inaczej tylko jest dotąd u nas. O ile jednak pojmowaliśmy wybornie obojętne w swym czasie zachowanie się naszego ogółu wobec tak cudacznej próby języka powszechnego, jakim był przed laty ów osławiony, a znikły już dziś z widowni, Volapük, o tyle niepodobna nam zrozumieć tej niezwykłej obojętności naszej prasy dla idei języka Esperanto. Obojętność tę czy... niechęć wówczas jedynie rozumielibyśmy, gdyby idea języka powszechnego wogóle, ukrywać w sobie mogła bodaj cień tylko jakiego niebezpieczeństwa dla ojczystej naszej mowy.

Jako próbkę niezmiernej łatwości i dźwięczności języka Esperanto, podajemy tu parę ustępów wierszem i prozą. Sprobójcie je najpierw przetłomaczyć sami.

El Biblio *).

Je la komenco Dio kreis la teron e la c'ielon. Kaj la tero estis senforma e dezerta, e mallumo estis super la profundaj'o, e la animo de Dio sin portis super la akvoj. E Dio diris: „*Estu lumo!*“ — e farig'is lumo. E Dio vidis la lumon, ke g'i estas bona, e nomis Dio la lumon: „*tago*“ kaj la mallumon Li nomis: „*nokto.*“ E estis vespero, e estis mateno — la unua tago. E Dio diris: „*Estu firmaj'o inter la akvoj e g'i apartigu akvon de akvo*“ itd.

El Lernolibro de la Lingvo Esperanto.

Kian grandegan signifon havus por la homaro la enkonduko de unu neutrala lingvo, per kiu homoj de diversaj nacioj povus paroladi e korespondadi inter si kaj en kiu povus esti eldonataj la verkoj, kiuj havas egalan intereson por c'iuj popoloj — pri tio c'i ne bezonas multe paroli. C'iu komprenas tion c'i tre bone, *e tial ni esperas, ke c'iu kun plezuro donos al ni helpan manon.* L. de Beaufront.

La Unua Strofo de la Himno s. t. „L' Espero.“

En la mondon venis nova sento,
Tra la mondo iras forta voko;
Per flugiloj de facila vento,
Nun de loko flugu g'i al loko.
itd. itd.

Ho, mia kor'!

Ho, mia kor'! Ne batu maltrankville,
El mia brusto nun ne saltu for!
Jam teni min ne povas mi facile,
Ho, mia kor'! itd.

Podajemy jeszcze dosłowny przekład powyższych ustępów:

Z Biblii.

Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. A ziemia była bezkształtna i pusta, a ciemność była ponad głębiami, a Duch Boży unosił się nad wodami. I rzekł Bóg: „[illegible] *się światło*“! — i stało się światło. I ujrzał Bóg światło, że jest dobre i nazwał Bóg to światło: „*dniem,*“ a ciemność nazwał On „*nocą.*“ I był wówczas wieczór i był poranek — dzień pierwszy. I rzekł Bóg: *Niech będzie ziemia (ląd) pomiędzy wodami i niech oddziela wody od wód* itd.

Z książki do nauki języka Esperanto.

Jak olbrzymie znaczenie miałoby dla ludzkości wprowadzenie jednego neutralnego języka, za którego pomocą ludzie różnych narodowości mogliby rozmawiać i korespondować ze sobą, i w którymby mogły być wydawane dzieła, mające równy interes dla wszystkich narodów — o tem nie potrzeba wiele rozprawiać. Każdy rozumie to bardzo dobrze *i dlatego mamy nadzieję, że każdy z przyjemnością poda nam pomocną rękę.*

Pierwsza strofa hymnu p. t. „Nadzieja.“

Na świat przyszła nowa myśl,
Przez świat bieży silny głos;
Na skrzydłach lekkiego wiatru,
Niech z miejsca on leci na miejsce.

O, moje serce!

O, moje serce! Nie bij niespokojnie,
Z mej piersi teraz nie uciekaj precz!
Już cię utrzymać nie mogę łatwo,
O, moje serce! itd.

Aleksander Bolesław Brzostowski.

*) W języku Esperanto akcent pada zawsze na przedostatnią zgłoskę, a każdy wyraz i każda głoska tak się czyta, jak się pisze. Wyjątek stanowią następujące litery: c' wymawia się jak *cz*, g' jak *dż*, h' jak *ch*, j' jak *ż*, s' jak *sz*.

FEJLETON

PAMIĘTNIK

Przed traktatem.

W gazetach niemieckich wre zacięta walka o nową taryfę celną, która ma być wprowadzona po odnowieniu traktatu handlowego z Rosyą. Jak wiadomo, rolnicy żądają obłożenia wysokiemi opłatami zboża, przemysłowcy zaś, kupcy i wogóle spożywcy kupowanego chleba pragną, ażeby on pozostał możliwie tanim. Trzeba przyznać prasie niemieckiej, że po za sofistyką, dorabianą dla obrony interesów klasowych, zbadała ona i rozświetliła sprawę gruntownie. Tymczasem nasza, zatopiona w teatrach i koncertach, z niewielu wyjątkami, zaledwie półgębkiem odzywa się o tej chmurze, która przecież zawisła i nad naszym krajem. *Gazeta polska* wzywała swych czytelników do motywowanego głosowania nad tym przedmiotem; otrzymała wszakże odpowiedzi nieliczne i dosyć powierzchowne. Jak daleco zaś sam jej zamiar uznany został za ważny, świadczy to, że w pismach niemieckich pomieszczono telegramy o tej „ankiecie.“ Przed paru dniami p. A. Kłobukowski poruszył znowu w *Kuryerze warszawskim* tę sprawę z innej strony. Mianowicie, przypomniał on wykrętne i ogromnie dla naszego kraju szkodliwe stosowanie artykułów traktatu o wprowadzaniu do Niemiec zwierząt gospodarczych. Dla bydła i owiec granica pruska jest ciągle zamknięta pod pozorem obawy przed zmyślonemi zarazami; dla trzody chlewnej zaś otwiera się ona zależnie od tego, czy dowóz jest potrzebny, czy nie. Świadectwa administracyjno-weterynaryjne władz tutejszych, wydawane transportom bydła i świń, nie mają dla komor niemieckich ani dowodowej, ani obowiązującej siły. Wogóle w tej dziedzinie handlu Prusy odgrywają komedyę. Jest to może jedyny obraz takiej oczywistej szykany w uregulowanych stosunkach międzynarodowych. Ponieważ zaś ona dotyka nas w znacznej mierze, więc odpowiednie organy, a przedewszystkiem warszaw. od. Towarzystwa pop. ros. przemysłu i handlu powinien starać się o zabezpieczenie w przyszłym traktacie producentów i kupców od podobnej samowoli.

Historyczna darowizna.

P. Feliks Jasieński — jak donosiliśmy — darował Towarzystwu zachęty sztuk pięknych swój zbiór obrazów i wyrobów japońskich, zachowawszy sobie tylko prawo przyczepiania do nich na wystawie kartek z wykrzykami i aforyzmami, które świadczyły o jego artystycznych uprzedzeniach, fanatyzmie i nieraz o braku równowagi, ale używały zupełnej tolerancyi zarządu przybytku i publiczności. Następnie p. J. pomieścił w *Chimerze* artykuł, w którym odsądził zmarłego Gersona od wszelkich zasług i tytułów malarskich, ozdobiwszy ten surowy wyrok podobnemi apostrofami. Te jego wystąpienia zgromił p. Kaprys w *Kuryerze warszawskim*, podarłszy na sobie z oburzenia szaty kapłańskie w strzępki. Urażony tą naganą p. J. — co zrobił? Oświadczył publicznie, że... cofa swój dar ofiarowany Towarzystwu.

Może ten dziwny odwet jest w duchu aforyzmów, którymi p. J. kształcił nasz gust artystyczny na kartkach wystawy obrazów japońskich; ale że posiada tylko sens historyczny — to nie ulega wątpliwości. Bo „gdzie tu Krym, gdzie Rzym, a gdzie karczmy babińskie“? Jaki związek ma Towarzystwo sztuk pięknych, które p. J. pozwalało na wszelkie wylewy europofobii i japonofilstwa w sztuce a p. Kaprysem, który zresztą skorzystał tylko z tej samej swobody zdania, co i jego przeciwnik? Z jaką to logiką, estetyką i etyką dojrzałych ludzi godzi się ofiarować instytucyi społecznej pewien dar i potem odbierać go dlatego, że dziesięciomilionowy ułamek tego społeczeństwa obraził ofiarodawcę? Nam się zdaje, że p. J. powinien co prędzej cofnąć swoje cofnięcie, gdyż w przeciwnym razie nie będzie mógł rościć pretensyi, ażeby go traktowano poważnie.

Ostrzeżenie.

Ponieważ niejednokrotnie przekonaliśmy się, że nasz głos dochodzi do tych sfer, do których nie powinienby sięgać, więc przed porą wyjazdów za granicę ostrzegamy, że interesy domu gry w Monte Carlo stoją bardzo źle. Baron Ephrusi (zięć Rotschilda) i młody Rudini (syn b. ministra włoskiego) rozbili kilkakrotnie bank i zabrali biednemu jej właścicielowi kilka

milionów franków. W przeszłym roku *czysty* dochód domu gry wynosił 23,125,000 fr. — co już było złym znakiem, gdyż np. w r. 1889 dosięgnął 37 milionów. Jeżeli tak dalej pójdzie, to dywidenda może spaść do 25%. Drobnych graczów (najgłupszych ale i najkorzystniejszych) coraz mniej, a samobójstwa zdarzają się rzadko. Skłopotany Blanc już zaprowadził pewne oszczędności: prasa francuska otrzymuje w roku bieżącym „stuligębnego" (jak nieboszczyk Sulimierski nazwał ten zacny podatek) tylko 500,000 fr., zamiast 2 milionów. Natomiast biskup dostał podwyżkę — 50.000 fr., zamiast 30,000. *Frankfurter Zing* przypuszcza, że jeżeli interesy domu gry się nie poprawią, wówczas Monaco, które z tego źródła wydaje 600,000 fr. na armię, będzie musiało rozbroić się.

Tę smutną nowinę podajemy nietylko ze względu na Monte Carlo, ale także ze względu na Warszawę, która niecierpliwie oczekuje otworzenia totalizatora na wyścigach wiosennych. Nie obawiamy się o nasz domek gry, który stracić nie może, bo nic nie ryzykuje, pragniemy tylko zachęcić rodaków do skupienia w nim wszystkich swoich operacyj i nadziei. Bo naprzód — jak się u nas mówi — pieniądze pozostaną w kraju, następnie wypłata jest pewna, jeżeli nie odrazu, to po małej awanturze. A kto wie, czy p. Blanc będzie w stanie oddawać wygrane? Więc pozostańmy wierni naszej swojskiej instytucji.

Kasa literacka.

W poniedziałek ubiegły odbyło się doroczne ogólne zebranie kasy literackiej, na którem między innemi poruszono projekt p. Stanisława Koszutskiego stworzenia literackiej księgarni nakładowej. Celem jej byłoby uwolnienie autorów naszych z zależności od wydawców, wyzyskujących owoce pracy umysłowej. Następnie przeczytano wniosek, również p. Koszutskiego, co do zwrotu ofiarodawcy trzech akcyj poznańskiego Banku ziemskiego na sumę nominalną 3,000 marek. Prezes, p. Ochorowicz, wyraził zastrzeżenie następujące: ze względu iż zebranie ogólne w roku przeszłym zatwierdzając sprawozdanie tem samem potwierdziło przyjęcie ofiary, decyzya ta musi być dla prezesa obowiązującą. Zgodnie z żądaniem wielu członków przewodniczący p. Julian Adolf Święcicki zaproponował poddanie tego wniosku pod głosowanie bez dyskusyi. Z powodu wszakże oporu pp. Kosiakiewicza i Straszewicza, zarządano najpierw głosowanie, czy ma być dyskusya w tej sprawie, czy też głosowanie bez dyskusyi. Za dyskusyą oświadczyło się 14, przeciw dyskusyi 148 głosów. Ponieważ jednak podano głosy na dwu kartkach: nr. 617, więc p. Straszewicz zbyt śmiało rzucił owej olbrzymiej większości obelgi fałszerstwa, pomimo że na dwu kartkach podali głosy także „niefałszerze," mieszczący się w liczbie 14 tu. Ale nawet po odrzuceniu kartek spornych pozostała olbrzymia większość przemawiająca za usunięciem dyskusyi; kto więc był a raczej chciał być fałszerzem?... Wniosek p. Koszutskiego poddano pod głosowanie, które dało wynik następujący: większością 109 przeciwko 52 głosom postanowiono akcye zwrócić ofiarodawcy. Pp. Straszewicz i Kosiakiewicz wyrazili swój protest w formie obelżywej i brutalnej i tylko dzięki taktowi zarządu tudzież owej olbrzymiej większości zgromadzenia, niezadowoleni nie zdołali, pomimo usilnych starań, wywołać awantury ulicznej.

Wybory dały rezultat następujący: do komitetu weszli pp. Ignacy Chrzanowski, Jan Karłowicz i Ignacy Baliński. Do komisyi rewizyjnej pp. Dunin, Andrychiewicz i Sygietyński.

BADANIA NAUKOWE.

Przestępczość w świetle badań kryminologicznych w XIX wieku.

I.

Z postępów umysłu ludzkiego najbardziej pożądanym przez większość ogółu jest taki, którego wyniki, nie pozostając jedynie w sferze abstrakcyi, posiadają władzę i możność zejścia prędzej czy później na grunt realny, konkretny,— w dziedzinę życia objektywnego społeczeństw, przynoszą im ze sobą ulgę w ciężkiej walce o byt, to znowu czasami uśmierzają jakiś ból i goją ranę i wogóle zmniejszają możliwie cierpienia i potęgują szczęście. Z odkrycia np. ósmego księżyca Saturna albo istnienia ichtyozaura w erze mezozoicznej ludzkość zaznała mniej pociechy i odniosła mniej korzyści, aniżeli, dajmy na to, z wynalezienia piorunochronu, lokomotywy, lub z odkrycia pierwiastków i powinowactw chemicznych oraz ich działania na różnego rodzaju zarazki chorobotwórcze.

Z tego właśnie punktu widzenia chcielibyśmy zwrócić uwagę na wielki krok naprzód, który uczyniła myśl ludzka w stuleciu ubiegłem, i to w takiej dziedzinie bytu społecznego, gdzie dotąd najwięcej może przelano łez niewinnych, najwięcej skruszono ciał i dusz.

Mówimy o sferze pojęć karnoprawnych. I tutaj, jak wszędzie, duch w. XIX, wbrew dogmatycznej scholastyce doktryn metafizycznych starej szkoły klasycznej, wniósł tchnienie ożywcze: z jednej strony naukowe dociekanie istotnych przyczyn zjawisk na gruncie ścisłej analizy materyału faktycznego, budowania teoryi *a posteriori*; z drugiej, uznanie organiczno-duchowej jaźni człowieka za istotę, od podobnych istot niezależną, i co za tem idzie, traktowanie jej w myśl maksymy humanitarnej— „miej serce." Jednem słowem, miast ważyć tylko i zgóry potępiać przestępstwo, jako objaw wolnej a złej woli, zaczęto wnikać w samego przestępcę, szukać mniej mglistych, bardziej realnych źródeł jego czynów zbrodniczych i przekonywać się o ich istnieniu objektywnem i deterministycznem; miast zatem bezwzględnie i surowo się mścić na niewiernych — niepoczytalnych, wystawiono wznioślejsze hasło — leczenia chorych, odrodzenia zwyrodniałych, poprawienia wykolejonych.

Oko za oko, ząb za ząb, — oto prawo i moralność duszy surowej, nieukształconej. W niej szał zemsty rozlewa się nawet i na rzeczy martwe. Jak dziecko bije krzesełko, gdy się o nie uderzy, tak dziki rozbija na drzazgi swój fetysz drewniany, gdy ten zawini, a w starożytności Kserkses każe chłostać nieposłuszne fale. Prawo Greków starożytnych znało banicyę dla przedmiotów, które spowodowały śmierć człowieka. Tembardziej uznawano przestępczość zwierząt, nawet myszy, szczurów, robaków itd. Magistrat bazylejski jeszcze w w. XIII „condamne un coq d'être brûlé pour avoir fait un oeuf."

Cóż tedy mówić o samym człowieku, o tym mikrobogu (według teologii), o tem jestestwie „rozumnem i swobodnem" (podług wiedzy z czasów odrodzenia i oświaty), jakoby dowolnie kierującem wszystkiemi swemi czynnościami. Nie zajmowano się należytem, prawidłowem badaniem duszy ludzkiej, wyświetleniem sprężyn jej reakcyi na zewnątrz: kwestya ta prawie że nie istniała i świat wewnętrzny zalegał mrok. Znane, bo jawnie widoczne, były tylko owe reakcye fizyczne, jako takie, — czyny, i oto za czyny, rażące sumienie publiczne, uznane za szkodliwe dla ogółu, przy powyższym braku innych czynników, nie pozostawało nic innego, jak odpowiadać czynem równoważnym, albo też do szczętu i raz na zawsze wytępić ich sprawców. Wprawdzie, dalszy rozwój kultury duchowej wyłonił nowy wyższy pogląd na charakter kary: szło już nie tyle o zemstę, ile o zastraszenie ogółu; ale mimo to badanie samej przestępczości leżało nadal odłogiem. Sokratesowskie nawoływanie — „poznaj samego siebie" musiało czekać dziesiątki wieków, zanim je usłyszano i należycie zrozumiano. Musiano przejść przez krytycyzm Kanta i dotrzeć do pozytywizmu Comte'a, aby módz założyć trwałe podwaliny takich nauk, jak psychologia, anatomo. — i psychopatologia i socyologia, które właśnie były potrzebne dla dokonania przewrotu w sferze pojęć kryminologicznych.

Jak już wyżej wzmiankowaliśmy, kryminologia na początku stulecia ubiegłego skierowała swoją uwagę, która przed tem pochłonięta była tylko zewnętrzną stroną przedmiotu, t. j. czynem przestępnym, — przedewszystkiem na samego przestępcę. Przestępstwo wtedy dopiero uważanem być może za kategoryę antimoralną samą w sobie, kiedy popełnione było w moralnym i świadomym stanie i napięciu duchowych władz osobnika.

Kim i czem jest osobistość przestępcy? Jakie jego pochodzenie i jaki układ organiczno-psychiczny? Jakiem wreszcie jest jego otoczenie społeczne? — oto *terra incognita*, którą teraz dopiero odkryto i zaczęto badać i uprawiać z całym współczesnym zasobem wiedzy biologicznej, a następnie społecznej. Punkt kulminacyjny tych skrzętnych dociekań wyraził się z jednej strony w t. z. szkole kryminalno-antropologicznej (biologicznej), z drugiej—w kryminalno-socyologicznej. Rozpatrzmy teoryę obu tych szkół.

Jeśli nie weźmiemy pod uwagę odnośnej intencyi psychologicznej, którą po wsze czasy i u wszystkich narodów odznaczali się różnej miary pisarze, usiłując, bądź to w eposie i dramacie, bądź w romansie lub noweli, obnażyć przed wzrokiem czytelnika ukryty *spiritus movens* normalnych lub nienormalnych czynów bohaterów swoich, to punktu wyjścia dla pierwszej z powyższych szkół, czyli dla włoskiej szukać należy w zapoczątkowaniach teoretycznych już to sensualistów i materyalistów końca w. XVIII, już to badaczy na polu frenologii, kranioskopii, fizyonomiki, psychiatryi itp., jak Galt, Lavater, Pinel, Esquiroll, Thomson. itp. Wszyscy oni mniej lub więcej zręcznie uprawiać zaczęli bądź embryologię i biologię, bądź psychologię przestępcy. I jest to fakt charakterystyczny, że bodziec do podobnego zwrotu w kryminologii wyszedł od fizyologów i lekarzy, co wskazuje, jak wielce zdrowie duszy zależnem jest od zdrowia ciała. Nie kto inny także, tylko lekarze — Prichard i Morel byli twórcami jeden — „Moral insanity" (1835 r.), drugi — „Dégénérescence" (1857), na, których gruncie powstał „delinquente nato" Lombrosa.

Nauka tego ostatniego (L'huomo delinquente itd.), przedstawia się jak następuje. Staranne badania, przeprowadzone w praktyce nad mnóstwem faktów, pozwalają wnioskować, iż niejeden zbrodniarz jest zazwyczaj przestępcą już od urodzenia i popychany bywa na drogę przestępstw nieświadomie i bez wewnętrznej możności stawiania oporu, wskutek wrodzonej anomalii władz duchowych czyli chronicznej choroby moralnej, uwarunkowanej anomalią cielesną (anatomo-fizyologiczną). Ta zaś zbliża go z jednej strony do typu moralnie obłąkanego (nieprawidłowości histologiczne czaszki, mózgu itd.), z drugiej — do typu człowieka niższej rasy

(wystające kości policzkowe, długie uszy, płaski nos). Wogóle taki wrodzony przestępca jest osobnikiem zwyrodniałym, cierpiącym dziedzicznie lub atawistycznie za winę przodków, najczęściej alkoholików zatrzymanym lub jednostronnym w rozwoju duchowym. Dochodzi wreszcie w swym obłędzie moralnym do stanu epileptycznego. Z takiego poglądu, jakoby czyny występne zbrodniarza bynajmniej nie były zależne od jego wolnej woli, lecz stanowiły jego los nieunikniony, który on sam ze sobą przynosi na świat, konsekwentnie wynika uznanie jego niepoczytalności, a więc i niewinności, nieodpowiedzialności. Dawną winę jednego przeciwko wszystkim teoretycznie zastąpiono przez wybaczenie wszystkich jednemu. Miast zemsty lub zupełnego tępienia niebezpiecznych, czyż nie byłoby racyonalniej zastosować do tych chorych odpowiedniej metody leczenia?

Tak brzmi w zasadach swoich i konsekwencyach indywidualno-biologiczna teorya szkoły włoskiej. Wywołała ona w swoim czasie wielką sensacyę w świecie naukowym: po raz pierwszy bowiem wniosła do kryminologii naukę o subjekcie przestępstwa, oparłszy ją na gruncie pozytywnym, wskazała więc nowe zadania i cele, i naoścież otworzyła wrota dalszym dociekaniom w tej mierze. Na tem właśnie polega jej wielkie znaczenie historyczne dla kryminologii.

Dziś jednak, wobec dalej sięgających badań, teorya ta, wskutek swej jednostronności, naukowo ostać się nie może. Najgorętszym ortodoksyjnym zwolennikiem jej dotychczas pozostaje przedewszystkiem sam Lombroso, który atoli na ostatni kongres międzynarodowy antropologii kryminalnej w r. 1896 już się sam nie zjawił. Jeszcze kongresy wcześniejsze, jak paryski w 1889 r. i brukselski w 1892 r. poważnie zachwiały podstawy jego nauki, a bardziej samodzielni jego uczniowie, jak np. Ferri, nie pozostają obojętni na głos krytyki i postępy wiedzy odnośnej.

Na gruncie tych właśnie postępów rozwinął się w ostatniej ćwierci u. w. kierunek w kryminologii — socyologiczny.

(D. n.).

LITERATURA I SZTUKA.

Liryka Kazimierza Glińskiego.

III.

Pierwiastek dramatyczny, tkwiący w tych i tym podobnych ustępach, pozwala nam nawiązać przerwaną na chwilę nić charakterystyki głównych znamion poezyi Glińskiego. W pierwiastku owym spoczywa dowód, iż w zakresie talentu poety istnieje obok innych dążność wyższa nad skłonność jedynie do melancholii i rozmarzania się. Poczucie tragiczności jest to już możność objęcia i zrozumienia wezbranej fali uczuciowej i skupienia potęg duchowych—możność objęcia i zrozumienia wysiłków czynnych, dążeń, walki, bez których niema tragizmu. A niema walki, jeśli nie istnieje głęboko w duszę wrośnięta potrzeba stawiania sobie jakichś celów, wpatrywania się w jakieś światła. „Sto gmachów wzniosłem i drugiem sto zburzył... O jedną więcej w niebie gwiazd nie płonie." Jest w duchu Glińskiego jakiś rozmach i rozpęd, jest stała dążność do wyobrażania i przedstawiania czynów wielkich i celów niecodziennych — więc poezya jego, jakkolwiek jest płodem natury miękkiej, nie roztapia się jeno w szereg roztkliwień, nie rozwija się tylko w nieskończony łańcuch upojeń lub skarg, lecz poczuwa się zdolną do wysiłku trwałego. Z poczucia tego wypłynął początek „Królewskiej pieśni," zakrojonej na szatę epopeiczną; stąd miały wyjść „Bezsenne noce"; stąd wreszcie trysnęły pomysły dramatów, dość już licznych do chwili obecnej, w których poeta dźwiga swe światy, tak dalekie od szarzyzny codziennej, bo wypełnione wybuchami gwałtownych namiętności, nęcące zawikłaniami tragicznemi, odbrzmiewające walką potęg żywiołowych. To same upodobania widzimy i w dziedzinie powieściowej, gdzie autor napróżno stara się o realistyczny rysunek osób, o uprawdopodobnienie położeń; widzimy je także w poematach mniejszych, które się wciskają pomiędzy utwory liryczne („Kropla krwi").

Wszystko to jest objawem duszy, spragnionej obrazów bohaterskich; jest owocem usposobienia marzycielskiego, chętnie odwracającego się od widoków codziennych, ale zarazem jest skutkiem nawyknień romantycznych. O nawyknieniach tych świadczy nietylko koloryt utworów, lecz już ów rozmach, który każe się poecie porywać na dzieła, o wiele przekraczające miarę nastroju chwilowego; nawet to jego wysokie przeświadczenie o swem powołaniu, o swej potędze wieszcza. „Stoimy na wyżynie jak dęby, a więc żadna burza nas nie minie; wiatr każdy, co w nizinach z szumem zwykłym bieży, tu, u góry, piorunem i gromem uderzy." „Za szczęście pieśń daję! A dać szczęście, to świat dać! Pan także magnatem, bo w zamian pieśń przynosisz, a pieśń bywa światem..." Zresztą o romantycznych upodobaniach Glińskiego mówiło się już nieraz...

Gdyby istotnie wyobraźnia poety była tak magnacką, że mogłaby wyłaniać z siebie wciąż rozległe światy, melancholia jego w znacznym stopniu nie miałaby prawdopodobnie usprawiedliwienia. Jednak „czy na schyłku dni żywota szeregami lat rozwiana zabrzmi moja arfa złota, duma dum niewyśpiewana? Od tak dawna nad strunami trzymam rękę podniesioną, chciałbym zagrać pieśń natchnioną, — a pieśń smutków arfa gra mi..." „Noce bezsenne" i „Królewska pieśń" wciąż pozostają fragmentami. Dramaty, jakkolwiek nieskończenie wyższe od powieści, przecież, oprócz upodobania w romantycznym półmroku i niezwykłościach tragicznych, posiadają inne jeszcze wspólne znamiona, jak słabe poczucie rzeczywistości i prawdopodobieństwa, czy to historycznego, czy psychologicznego. Jest coś, co powstrzymuje wzniesioną już rękę artysty... Struny milczą lub skarżą się smutnie. Zdaje się pochodzi to głównie stąd, że w uzdolnieniach poety przeważają przedewszystkiem pierwiastki liryczne. Umie przemawiać silnie, kiedy jego własne uczucia i myśli potęgują się w rezonatorze, którym jest uczucie powszechne; lecz zapomnieć o sobie, uprzedmiotowić się w różnorodnych usposobieniach chwilowych czy stałych, zastosować się do wymagań położenia, do warunków narzuconych przez okoliczności, a zwłaszcza pomyśleć, iż warunki te i postacie oryginalnie — to wszystko jest zadaniem, któremu liryk nie zawsze podoła, jest to praca, która go może zanadto nużyć i wyczerpywać.

Obok wskazanej działa zapewne hamująco inna jeszcze przyczyna. Marzyciel, przeciwstawiając wstrętnej sobie rzeczywistości wyśniony i lepszy świat, nie umie nadać mu dość realnych barw i kształtów, wynaleźć dlań punktu ciężkości, nie umie wskazać słońc, któreby, pochwytując nas w wir swego przyciągania, dla niego samego stały się osią twórczości, któreby twórczość ową wprawiały w ruch rozpędowy, własną siłą rozwijający z siebie wprost dalsze a dalsze obrazy. W „Almanzorze" np. grają potężne namiętności, ale niema tam siły czy idei, podnoszącej cały utwór na pewne wyżyny etyczne i nadającej mu ów podkład uczuciowy, który, nastrajając odpowiednio czytelnika, zniewala go spoglądać na wszelkie braki techniczne, jako na szczegół zgoła podrzędny. Trzymajmy się jednak granic liryki. Sympatycznie, bez wątpienia, usposabia dla poety jego idealizm, którego gorzkie doświadczenia wyplenić nie zdołały. „Sto złudzeń przeżyć lepiej, niż skonać w rozpaczy." „Cóż, że życie się wkolei w kamienisty grunt zawodu? Płynie naprzód łódź z nadzieją, ryje swego znak pochodu. Sto żywotów pęka, ginie, tysiąc nowych łodzi płynie." Obyż tak, obyż tak! Ale w ideałach poety jest zawsze coś nieokreślonego; jego krytyka jest zanadto dobrotliwą i łagodną; nie oburza się nigdy, lecz składa winę niedoli ziemskiej na fatalistyczny zbieg rzeczy, lub pośpiesza rozżalona na skargę do Pana niebios. Jego „nasz świat" (według wyrażenia Konopnickiej) — to, jak się zdaje, królestwo uczuć tkliwych i miękich. „Czy znasz ten kraj, gdzie miłość trwa przez życia wszystkie lata? Gdzie przyjaźń jest z żelaznej kuta bryły, gdzie wiernym być jest ludziom nie nad siły?" Przypomina niejednokrotnie, że gdzieś tam duch nędzy i upadku w sercu nędzarza panowanie swe rozpościera, iż są na świecie myśli stroskane itp., lecz pocóż o tem wszystkiem mówi np. „Na balu"? Poco mącić zabawę? Ziemi ciężaru nie ubędzie wskutek czułostkowo-salonowych flirtów na tematy społeczne... Zresztą Gliński nie jest szermierzem tej lub owej warstwy w gromadzie ludzkiej, nie ciska gromów za krzywdy ludziom przez ludzi czynione. Z goryczą mówi o tem, jak to jest na ziemi „dobrze." Kędyś grad wytłukł zboże, gdzieś Wisła wylała, a owdzie piorun sioło spalił... Fatalizm. Albo spojrzmy oto na tę postać, błądzącą nad brzegiem rzeki. To młoda, opuszczona matka, nad którą zawisła hańba, a której próżna pierś nie zwilży ust dziecięcia... Wisła pieszczotnym uściskiem swym ukryła dwoje istot. Przeciw komu zwróci się teraz potępienie poety? „Nazajutrz wstał groźny sąd ludzi, świętoszków, zatrzęsły się ręce, bo życie wciąż nowe na ziemi się budzi." A oto upomnienie. Nie gróźb i złorzeczeń, nie przekleństw potrzeba, nie nowych pręgiorzów do bicia, lecz słowa miłości, i strawy, i chleba, i *życiu dać prawo do życia*. Zostawcie sąd Bogu, bo z jego to woli niezłomnych praw idą szeregi. On rzuca siew dobry..." Więc nikt nie zawinił — oprócz świętoszków, oczywiście... Nie, bojownikiem Gliński nie jest. I bodaj na zawsze w pamięci naszej pozostanie przedewszystkiem jako rzewny pieśniarz, z tęskną na ustach skargą:

Smutno mi Boże, choć bracia rówieśni
Do arf zasiądą, — wyciągnięta ręka
Strun lutni szuka i znaleźć nie może,
Aż serce pęka!
Że mi już złoty sen żaden się nie śni,
Że muszę struny zerwać, ja—syn Pieśni.
Smutno mi Boże!

Smutno mi, Boże, że jak ptak zbłąkany,
Szeroką ziemię oblegam w półkole,
A ręka inna i pług inny orze
Ojcowską rolę, —
Że — kiedyś z wichrem powrotnym przygnany,
Wśród ścian znajomych stać będę nieznany.
Smutno mi Boże.

Smutno mi Boże, choć ta gwiazda wschodnia
Promiennych blasków mieni się szkarłatem,
Oświeca niebo i ziemię i morze,
Płynąc nad światem —
Lecz choć w błękitach świeci, jak pochodnia
Że nad grobami ludów wstaje co dnia.
Smutno mi, Boże!

A. Drogoszewski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Wojciech Bogusławski: *Spazmy modne*, komedya w 3 aktach. — Gerhart Hauptman: *Samotni*, dramat w 5-ciu aktach.

Do repertuaru teatru Rozmaitości, dzięki benefisowi p. Szymanowskiego, weszła świeżo, napisana przed stu z górą laty, 3-aktowa komedya W. Bogusławskiego p. t. „Spazmy modne". Sztuka ta, jedno ze spóźnionych ech satyrycznego nastroju literatury naszej w okresie Stanisławowskim, jako utwór artystyczny, ma dziś już tylko znaczenie historyczne. Jest to dyalogowana, przydługa nieco satyra na płochość obyczajów wśród t. zw. wyższych sfer społeczeństwa polskiego przy końcu XVIII wieku. Ostrze jej skierowane jest głównie przeciw wszelkiego rodzaju „spazmom, waporom, konwulsyom", udawanym wówczas nie gorzej, niż obecnie, przez damy wielkoświatowe, w celu zdobycia sobie swobody i bezkarności poniewierania mężem lub narzeczonym i otwartego obdarzania względami niezbędnego w tym czasie „amanta", chociażby miał być nim nawet rodzony mąż własnej siostry lub zwykły wietrznik, niepoń i łowca posagowy w rodzaju majora Szarmanckiego (p. Wolski).

Sztuka, której zrazu słucha się nie bez zajęcia, w drugiej połowie nużyć zaczyna jednostajnością sprężyn wewnętrznych i naiwnością intrygi. Obok innych cech dobrodusznego pseudoklasycyzmu polskiego, nie brak tam nawet czegoś w rodzaju *deus ex machina*, którym jest tym razem, zjawiający się w długich butach i futrze niedźwiedziem, stary i bogaty wujaszek z zapadłej prowincyi, pułkownik Zdawnialski (p. Bolesławski) Ciągłem gderaniem i groźbą wydziedziczenia zaprowadza on wreszcie pewien ład w wielkoświatowem stadle hrabiostwa Modnickich (p. Śliwicki i panna Rutkowska), młodszą zaś siostrzenicę Lukrecyę (p. Irena Trapszo) zabiera na pewien czas na wieś w celu wyleczenia jej z „modnych" naleciałości wielkomiejskich.

Pierwowzorem „Spazmów modnych" ma być podobno jakaś jednoaktówka włoska Abergatego. Treść sztuki istotnie dałaby się wyczerpać w jednej; najwyżej w dwu odsłonach, a stary Bogusławski dał ich aż pięć, sądzimy więc, że i współczesnym rzecz ta wydawała się trochę za rozwlekłą. Dla pokolenia obecnego ma ona głównie znaczenie jednego z tych zabytków przeszłości, z którymi zapoznać się nie zawadzi. Jeśliby jednak chodziło o przypomnienie czegoś więcej ponad naiwność i zależność od wzorów obcych naszych pierwszych utworów dramatycznych, to do tego celu o wiele lepiej od sztuk autora „Krakowiaków i górali" nadawałyby się, zdaniem naszem, niektóre komedye Fr. Zabłockiego, zwłaszcza zaś jego „Fircyk w zalotach" lub „Sarmatyzm".

„Spazmy modne" na scenie naszej odegrane zostały starannie. Główną rolę hrabiny Modnickiej odtworzyła z dużym zasobem wdzięku i miary artystycznej p. Rutkowska. Sporo szczerości i uczucia wlał również w swą grę p. Śliwicki; u p. Ireny Trapszo pożądane te cechy zastępować zaczęła rutyna. Bardzo dobrym kamerdynerem Służalskim był naturalnie p. Szymanowski; wcale niezłą garderobianą—pani Horwath. Długą i niezbyt wdzięczną rolę zrzędy Zdawnialskiego, mającego być niby uosobieniem w komedyi dobrych dawnych czasów, odegrał z pewną teatralną przesadą p. Bolesławski, nie zdolawszy wydobyć z niej wcale cech typowych. Dobrym w krótkiej roli lokaja Wiercickiego był p. Oworło, chwilami szczerze komicznym Jurgą—p. Tatarkiewicz, zadawalającym doktorem Mizantropskim—p. Siemaszko, wyjątkowo jakoś bezbarwnym dosyć Szarmanckim—p. Wolski, co zresztą wydaje nam się bardziej winą samej roli, niż utalentowanego artysty.

W jakżeż inny, w jak zupełnie odmienny świat uczuć i myśli przenosi nas Hauptman w swych „Samotnych", wystawionych świeżo dwukrotnie w teatrze przy ul. Królewskiej przez znane koło miłośników sceny. Sztuka ta, napisana przed dziesięciu laty, a więc o wiele wcześniej od takich uscenizowanych poematów, jak „Dzwon zatopiony" lub „Hanusia", jest dziełem na wskroś realistycznem, nieodtwarzającem zresztą powierzchownej tylko fali życia, lecz sięgającem do samej jego głębi. Daje nam ona z fotograficzną niemal ścisłością skreślony obraz małego światka średnio zamożnej rodziny niemieckiej, której spokój i szczęście burzy nagle jeden z jej członków, nie mogący zamknąć swych porywów duchowych w zakreślonej przez nią sferze. Walka jednostki z otoczeniem, ten odwieczny motyw tragiczny, komplikuje się jednak w sztuce Hauptmana całym szeregiem czynników, a zwłaszcza słabością charakteru, chorobliwością bohatera głównego, oraz dobrocią, poniekąd nawet szlachetnością otoczenia, przygniatającego jednak w końcu mimo wszystko i zabijającego tę chorą duszę nowoczesną, która wyrosła, jak kwiat egzotyczny, na zgoła nieodpowiednim gruncie. Jest to więc walka dwu sił, z których żadna nie zasługuje na potępienie bezwzględne, walka tem smutniejsza, że nacechowana jakiemś wysoce dramatycznem piętnem konieczności, błędne koło, z którego wyjścia odnaleźć wprost niepodobna.

Tacy państwo Vockerat, rodzice Jana, to przecież niby bardzo dobrzy ludzie. Pragną oni gorąco szczęścia syna, który był kiedyś ich dumą, lecz teraz zawodzi pokładane nadzieje. W siedemnastym roku skończył gimnazyum, a dziś? Dziś wyprzedzili go wszyscy koledzy. Tacy, którzy ani połowy jego zdolności nie mają—oddawna siedzą na urzędach. A on co? Poświęca się jakimś mrzonkom idealnym, jakimś studyom przyrodniczym czy filozoficznym, usiłuje zwalczyć takie nawet powagi, jak Dubois Reymond i w tym celu pisze obszerne dzieło, którego nie może zrozumieć ani jego dawny kolega Braun, ani nawet taka dobra, kochająca, zahukana trochę żona Klara, która pragnęłaby również zwrócić czasem umysł męża do rzeczy praktyczniejszych, choć zresztą ulega mu we wszystkiem i, jak się zdaje, jest szczerze przekonana o jego genialności.

Czy zaś ów uczony marzyciel jest genialnym istotnie, czy pretensye jego mają realną podstawę w jego uzdolnieniu—rzecz to już w gruncie rzeczy obojętna, dość, że wśród otoczenia swego, na które, prócz pobożnych i poczciwych rodziców, oraz sentymentalnej trochę żony, usiłującej napróżno zbliżyć się do niego, składają się tacy niezbyt subtelni ludzie, jak Braun lub stary pastor Kollin, czuje się osamotnionym zupełnie, nie dzieli jego nadziei i bólów, nie żyje jego życiem, jest rozgoryczony i nieszczęśliwy. Szczęścia właściwie nie pragnie on nawet, twierdząc wręcz, że dzisiaj ludzie zadowoleni—to trutnie w ulu, chciałby jednak znaleźć na szerokim świecie choć jedną istotę, któraby mu okazała—niewiele, drobnostkę, nieco dobrej woli, zrozumienia dla jego pracy, lecz tego właśnie zrozumienia i odczucia jego dążeń wyższych, mimo usiłowań szlachetnych ze strony Klary, nie może mu dać ani ona sama, ani nikt z tylu wszystkich dobrych, lecz pospolitych ludzi, którzy go otaczają codziennie, i to właśnie drażni go i męczy, to go przygnębia i unieszczęśliwia.

W takiem położeniu, jak Rusałka przed Henrykiem w „Dzwonie zatopionym", staje przed Janem niespodziewanie młoda i piękna studentka z Zürichu, która mu daje odrazu to wszystko, czego napróżno szukał wśród najbliższych. Długie godziny schodzą im niepostrzeżenie na przejażdżkach po jeziorze, wspólnem czytaniu i rozmowach, na zbieraniu wina lub przechadzkach po parku cienistym. Młody uczony czuje się podniesionym duchowo, przed wyobraźnią jego otwierają się nowe światy, czarodziejka miłość, której usiłuje nadać z początku charakter przyjaźni tylko, budzi się w jego duszy nanowo, odradza ją i przeistacza niemal. Ale rodzina jego, ale matka, żona, przyjaciel—nie mogą pozwolić na trwanie stosunku, na który, naturalnie, patrzą oni całkiem innemi, niż Jan, oczyma. Następuje nowa walka między Janem i jego otoczeniem. Odkładany z dnia na dzień odjazd Rusałki-Anny musi w końcu nastąpić, ale rozstania tego młody Vockerat przeżyć nie potrafi i z pierścieniem ukochanej w ręku, który miał być dlań pobudką i zachętą do nowego życia dla idei, rzuci się w chwilę po jej odjeździe w ciemne nurty jeziora, na którego falach spędzili razem tyle chwil szczęśliwych.

Sztuka Hauptmana obfituje w mnóstwo szczegółów subtelnych, które w pobieżnem streszczeniu z konieczności pominięte być muszą. Treść jej w duszy poety skrystalizowała się potem na takie dzieło czystej poezyi, jak „Dzwon zatopiony"; niemniej jednak i w tej formie, jaką otrzymała pierwotnie, daje nam wybitny i ciekawy utwór dramatyczny, zasługujący ze wszech miar na poznanie, uderzający zwłaszcza wyborną charakterystyką wszystkich postaci, wprowadzonych na scenę po mistrzowsku. Teatr Rozmaitości przez lat dziesięć nie mógł się zdecydować czy zdobyć na wystawienie tej sztuki, dobrze więc zrobili „miłośnicy sceny", wyręczając go wreszcie. Nie wszystkie wprawdzie role mogły znaleźć dobrą obsadę, lecz grono amatorskie, mające taką parę artystów, jak p. Łącki i pani Orwidowa, miało, według nas, obowiązek i prawo nie cofnąć się przed wystawieniem „Samotnych". Sztuka wśród publiczności wzbudziła zajęcie żywe.

Wł. Bukowiński.

Z MUZYKI.

Ryszard Wagner: *Tannhauser*.

Jeszcze przed laty dziesięciu wzmianka o Wagnerze wystarczała, aby oburzyć melomanów! „Co? Wagner? *unendliche melodie*? „leitmotyw," abstrakcya? Pan chce, abym słuchał muzyki waryata, przekładającego orkiestrę nad śpiew?" Dzisiaj już Wagner zdobywa powszechne uznanie. Orkiestra Windersteina, koncerty symfoniczne, kilka lepszych rozpraw o Wagnerze, rozwiały pierwsze mgławice uprzedzeń. Ogół zaczyna — że się tak wyrażę —„pracować" nad zrozumieniem Wagnera, tem bardziej, iż zauważono jego *dodatni* wpływ na społecznych kompozytorów polskich. Przykład mamy w wyborze tematów do oper „Goplana," „Pojata" i „Marya" przez Żeleńskiego i Gawrońskiego. „Lohengrin" pomimo słabej interpretacyi — chociaż zeszedł z repertuaru, obudził zajęcie. Obecne świetne wykonanie „Tannhäusera" — o ile się dało zauważyć — również trafiło do przekonania słuchaczów.

Na „Tannhausera," jako na pierwszą operę, zrywającą z tradycyą „wielkiej opery," należy patrzeć nietylko okiem muzyka. To nie utwór wyłącznie muzyczny, jeno traktat filozoficzny w tonach, kreślony

ręką geniusza. Wszystko w nim tchnie mocą niezachwianego przekonania, że w osnowie utworu artystycznego może być idea filozoficzna, niepsująca artystycznej wartości dzieła, jeśli to dzieło jest wygłosem twórczym szczerego przekonania. A tą właśnie *siłą* przekonania, rozmachem, podbija Wagner widza i każe mu żyć i myśleć z nim, nie goniąc za jałowym efektem formy muzycznej.

Wartość *ideowa* „Tannhäusera“ po za umiejętnem zużytkowaniem żywiołu ludowego w muzyce i librecie polega jeszcze na tem, że przez całą fabułę libreta przechodzi subtelna kanwa apoteozowania idei *poświęcenia się, ofiary*, ofiary dla *miłości*, w najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu. Miłość Elżbiety, czysta, pogodna, bezgraniczna w poświęceniu się—staje jako potężny kontrast z klątwą Rzymu, który nie ma litości dla pokutującego Tannhäusera. Groza tragizmu dochodzi do najwyższego napięcia: Tannhäuser pokutuje, karci ciało do krwi, namiętność wszakże kipi w nim z żywiołową potęgą. Elżbieta zaś, „Anioł biały,“ modli się za ukochanego i on wie o tem. Kiedy jednak zwątpił o swych siłach, o istnieniu Litości, wybucha: „Tak jak ten kij w mojej ręce już nigdy się nie pokryje zielonością, tak niema dla mnie wybawienia z ognia gorejącego piekieł! Idę ku Wenus i oddam się jej na wieki!“

Psychologia tej rozpaczy nie ma u autora umotywowania: ten rys zrozpaczonych jest znany każdemu: nic ich nie powstrzyma — krom wielkiego, wstrząsającego doniosłością faktu. I oto, gdy się ukazuje pochód z trumną Elżbiety Tannhäuser wydaje okrzyk: „Święta Elżbieto, módl się za nami!“ Nadmiar miłości „ofiary“ Elżbiety ratuje pokutnika, otwiera mu niebo!

W historyi dramatu psychologicznego w szacie muzycznej „Tannhäuser“ zajmuje niezaprzeczenie naczelne miejsce ze względu *na porządek* rozwoju *idei* Wagnera. Po „Tannhäuserze“ następuje dalszy ciąg zasadniczej myśli wielkiego reformatora opery: *miłość, miłość ofiarna przetrwa wszelkie walki i zwycięży państwo demonicznej siły zmysłowości.* Izolda, Brunhilda—to są typy pokrewne typowi Elżbiety, ale subtelniej wycieniowane, postawione w tragiczniejsze starcia. „Parsifal,“ owa apoteoza mistyczna bólu i ofiary, wieńczy gmach spiżowej budowy Wagnera, który tu istotnie sięga wyżyn Montsalvatu muzycznego i psychologicznego. Nie przekroczył ich żaden kompozytor.

Wystawienie „Tannhäusera“ w operze naszej ze względu na całoroczny pstrokaty repertuar uważamy jako pierwszy krok postępu, jako szczęśliwą wróżbę powodzenia oper Wagnera w dalszym ciągu. Jeżeli ogół upodobał „Tannhäusera,“ nie wątpię, iż chętnie by widział stopnie dalsze, prowadzące ku „Latającemu Holendrowi,“ „Tryst. i Izoldzie“ i „Parsifalowi.“ Bezmyślność treści libret Scribe'a, Bojto itp., pomimo potęgi geniuszu Verdiego i Halevy'ego, nie zadawala umysłu. Jeżeli pewne ustępy wyglądają dobrze, to je porównać można do kamieni pięknych na strzępach starej szaty, zszytej z różnobarwnych kawałków. Żadne libretto Scribe'a nie ma takiej jednolitości, jak u Wagnera. Poeta i muzyk ściśle są zespoleni.

Wykonanie „Tannhäusera“ wymaga zgodności sił wokalnych z orkiestrą. Pod tym względem jesteśmy nad wyraz zadowoleni. Orkiestra pozbyła się rubaszności, artyści sumiennie przestudyowali partye. Chcielibyśmy wszakże jeszcze dokładniejszej pracy nad wymową i nadaniem możliwej prostoty frazesom *recitando.* Należy pamiętać, że Wagner często *mówi* i w tym razie można się pozbyć włoskiego traktowania a *piena voce*. Panie Kruszelnicka, Korolewiczówna, Bogucka i pp. Floryański, Didur i Battistini wyraźnie seryo zaczynają traktować Wagnera. Postęp widzimy nawet w gronie bałwochwalców Muzy starowłoskiej, jak p. Kruszelnicka i p. Battistini.

Wystawa, dekoracye bez zarzutu.

Antoni Miller.

POEZYE

Pieśń ludowa.

Po miejskich znojach kto ci rękę poda—
Szczęśliw—orzeźwiasz, jak zdrojowa woda;
W tobie się źródło ciągłych natchnień chowa,
Pieśni ludowa!

Oczarowała mnie twoja uroda,
Rytm słów ochoczy, treść prosta i zdrowa,
Odwiecznie stara i wieczyście młoda,
Pieśni ludowa!

Przez ciebie zmarłe mówią pokolenia,
Których fantazyą ruczaj, czy dąbrowa
W gniazdo rusałek, bogunek się zmienia—
Zamierzchłych epok drżą w tobie wspomnienia,
Pieśni ludowa!

Krwawi się jeszcze napół skrzepła blizna,
W zblakłych piersiach łka skarga echowa,
Zmora lat dawnych wciąż dławi — pańszczyzna;
Kto słyszał ciebie, do winy się przyzna,
Pieśni ludowa!..

Literat ani etnograf nie zbada,
Kto razem składał harmonijne słowa.
Spadasz z serc ludu, jak deszcz z niebios spada,
Twórcą twym była włoskowa gromada —
Pieśni ludowa!..

Obcym ci czar subtelnych porozumień.
Nieznaną piżma woń buduarowa,
Brak ci dyskretnych półcieni, przytłumień,
Lecz bije z ciebie życia wartki strumień,
Pieśni ludowa!..

Gdy słyszę ciebie, łzą oko zaprószę.
Bo jesteś dla mnie jak z braćmi rozmowa,
Bo łkają w tobie ligawki pastusze.—
Odbijasz w sobie narodową duszę
Pieśni ludowa!..

Nieraz cię słyszę, widzę w każdym tonie
Chabrowe oczy i czuprynę płową,
Woń koniczyny z nadrzecznych łąk wionie,
Swojskie powietrze całuje me skronie
Z piosnką ludową...

Lucyan Komarski.

SPRAWY EKONOMICZNE

PARCELACYA

(Według najnowszych danych).

Mamy przed sobą kolumny cyfr, umieszczone w 25-ciu rubrykach. Po zatem nic więcej. Cyfry te jednak mówią, bardzo dużo mówią. Są to najświeższe wykazy z ksiąg Banku włościańskiego o ruchu parcelacyjnym w Królestwie Polskiem. Przyjrzyjmy się osobnym pozycyom, które prowadzą do ważnych wniosków. Przestrzeń gruntów wszystkich, nabytych od nie-włościan, doszła w chwili obecnej do następującej liczby dziesięcin: w gub. Warszawskiej 80,226; w tej samie nabyto z pomocą Banku włościańskiego 36,594 przy parcelacyi prywatnej 43,632; w gub. Kaliskiej ogółem 60,422 (z pomocą Banku 26,594, przy parcelacyi prywatnej 33,838; w Kieleckiej ogółem 35,874 (z pom. Banku 24,809, przy parcelacyi prywatnej 11,065); w Łomżyńskiej ogółem 8,044, pom. Banku 3,700, przy par. pryw. 4,344); w Lubelskiej ogółem 82,245 (przez Bank 33,633, przy parcelacyi prywatnej 48.162); w Piotrkowskiej 52,020 (z pom Bank 22,773, przy par. pryw. 29,247); w Płockiej ogółem 22.122 (z pom. Banku 6,761, przy parcel. pryw. 15,361; w Radomskiej ogółem 104.362 (z pom. Banku 28,068, przy parcelacyi prywatnej 76,224); w Suwalskiej ogółem 6.476 (z pom. Banku 381, przy par. pryw. 6,095); w Siedleckiej ogółem 40,016 z pom. Banku 9,638, przy par. pryw. 30,378). Ogółem w całem Królestwie Polskiem przestrzeń gruntów wszystkich, nabytych od niewłościan, wynosi 491,807 dziesięcin w tej liczbie nabyto z pomocą Banku włościanskiego 192,941 dzies. (376,438 morgów); przy parcelacyi prywatnej 298.866 dzies.

Jak widzimy, ruch parcelacyjny najbardziej się rozwinął w gub. Radomskiej (104.362 dzies.), najmniej w Suwalskiej (6,476). Ilość gruntu, nabytego przy parcelacyi prywatnej tylko w jednej gub. Kieleckiej jest mniejsza niż z pomocą Banku włościańskiego. We wszystkich innych guberniach ilość gruntów nabytych przy parcelacyi prywatnej stale przewyższa ilość, nabytą z pomocą Banku; przy tem w niektórych przewyżka ta jest bardzo znaczna. Np. w gub. Płockiej jest przeszło dwa razy większa, w Radomskiej prawie trzy razy, a w Suwalskiej przeszło *piętnaście* razy.

W jakim stopniu na ruch parcelacyjny wpływa gatunek i cena ziemi, wniosków stanowczych wyprowadzić nie można. Niektóre wszakże cyfry upoważniają do pewnych przypuszczeń. Przeglądając przeciętne ceny gruntów w osobnych guberniach, widzimy, iż najniższa jest w gub. Suwalskiej (91 rb.), w której rownież jest najmniejszy ruch parcelacyjny. To każe przypuszczać, że z dóbr dworskich na parcelacye idą grunty najlichsze, na które lud nie jest łakomy. Przeciwnie, tam, gdzie są ceny wyższe, a więc ziemia lepsza, widzimy większe ożywienie ruchu parcelacyjnego, o ile jednak ceny nie przekroczą pewnej normy. Wogóle w całem Królestwie przeciętna cena gruntów, przeznaczonych na parcelacyę wynosi 124,8 rb. Cena w gub. Radomskiej i Siedleckiej najbardziej jest zbliżoną do ogólnej przeciętnej (123 rb.) i tam właśnie ruch parcelacyjny jest mocno ożywiony. Do najwyższej ceny przeciętnej dochodzą grunty w gub. Kieleckiej (164 rb.) i tam ruch parcelacyjny jest mniejszy niż w dwu powyższych guberniach. Tam zaś, gdzie ceny dochodzą do 150 rb. (w Warszawskiej 146, Lubelskiej 150) po gub. Radomskiej najwięcej rozparcelowano gruntów. Naturalnie ceny i gatunku gruntów nie można tu uważać za jedyny czynnik mniejszego lub większego stopnia ruchu parcelacyjnego. Trzeba tu brać w rachubę wiele innych warunków. Między innemi ważnym czynnikiem w stopniu napięcia ruchu parcelacyjnego jest rodzaj dóbr parcelowanych. Według Blocha („Ziemia i jej odłużenie“) najwięcej parceluje się dóbr, obejmujących do 60 do 600 morgów. Na ilość stanowią one śród ogółu dóbr rozparcelowanych 68,3%, na obszar aż 71,9%. Po tej grupie najwięcej przestrzeni ustępuje parcelacyi grupa posiadłości średnich (od 600 do 1500 morgów), chociaż na ilość daje ona 5,6%, na obszar jednak 18,8%. Wielka posiadłość parceluje się bardzo mało. Majątki rozparcelowane z grupy od 50 do 100 włók tworzą ledwie 0,8% wszystkich rozparcelowanych, a obszar 6,8%. W grupie fortun magnackich, przenoszących 100 włók, parcelacyi już wcale niema. Parcelują się nawet majątki najmniejsze, nie sięgające 60 morgów.

„Duże obszary, któreby właściciele rozparcelować chcieli—mówi p. Bloch—są tak odłużone, że niełatwo je nawet przy

pomocy pośredników - przedsiębiorców, sprzedać nabywcom mniej niż średniej zamożności, którzy z wysiłkiem mogą zdobyć się na kupno jednej lub dwu włók; dla sprzedania majątku, np. liczącego 3000 mórg, tego rodzaju kupców trzebaby znaleźć 50—100, co już jest rzeczą niełatwą. Dalej ciżba różnorododna musiałaby się porozumieć co do podziału bardzo niejednorodnego, w większości wypadków, częściami majątku: rolą rozmaitej wartości, pastwiskami, łąkami, wreszcie nieużytkami, których w dużych folwarkach najczęściej nie brak".

Biorąc pod uwagę cenę gruntów, nie można również jej skali mierzyć jedynie jakością. Grają tu ważną rolę: położenie, stan kulturalny danej okolicy, komunikacye, a nawet forma sprzedaży (z wolnej ręki lub na licytacyach), wreszcie warunki spłaty.

Wróćmy do innych pozycyj według najświeższych danych: Przeciętny rozmiar jednej osady włościańskiej w całem Królestwie Polskiem wynosił: w r. 1870 nadanej 7,7 dzies., w 1899 r. 6,3 dzies.; kupionej za pomocą Banku włościańskiego 4,24, przy parcelacyi prywatnej 14,91 dzies.

Z cyfr tych widzimy, że rozmiary osad z kategoryi nadanych, zmniejszyły się, pomimo, że według przepisów, grunty te są unieruchomione. Następnie spostrzegamy to samo, co powyżej, zjawisko: osady powstałe przy parcelacyi prywatnej są przeszło trzy razy większe, niż te, które powstały za pomocą Banku włościańskiego.

Przyjrzyjmy się teraz sumom pieniężnym: Za grunty kupione z pomocą Banku włościańskiego zapłacono: w gubernii Warszawskiej ogółem 5,329.060 rb. (pożyczką z Banku 3,985,132 rb., z własnych funduszów 1.343,928 rb.); w gub. Kaliskiej ogółem 3,524,548 (pożyczką z Banku 2,790,896 i własnych funduszów 733.652 rb.); w gub. Kieleckiej ogółem 4.086.083 (pożyczką z Banku 2,901,225, z własnych 1,184,858 rb.); w gub. Łomżyńskiej 364,636 (pożyczką z Banku 272,031, z własnych funduszów 92,605 rb.); w gub. Lubelskiej 5,021,212 (pożyczką z Banku 3,623,688, z własnych funduszów 1.427,574); Piotrkowskiej 2,368,269 (z Banku 1,735,381, z własnych funduszów 622.888); w g. Płockiej 799,345 (z Banku 649,502, z własnych funduszów 149,843); Radomskiej 3,449,374 (z Banku 2,588,938, z własnych funduszów 860,436); w gub. Suwalskiej 34,520 (z Banku 25,720, z własnych funduszów 8,800); w Siedleckiej 1,185,613 (z Banku 885,261, z własnych funduszów 300,352). Ogółem w całem Królestwie za grunty kupowane z pomocą Banku włościańskiego zapłacono rb. 26,132,660, w tej sumie pożyczką z Banku 19,457,724, z własnych funduszów 6,674.936.

Za grunty kupione z własnych funduszów, licząc po tej samej cenie zapłacono: w gub. Warszawskiej 6,808,272, Kaliskiej 4,466,616, Kieleckiej 1,814,660, Łomżyńskiej 425,712, Lubelskiej 7,291,800, Piotrkowskiej 3,012,431, Płockiej 1,812,598, Radomskiej 9,384,122, Suwalskiej 554,745, Siedleckiej 3,736,494. Ogółem w całym kraju 39,297,450.

Ogółem za grunty kupione od nie włościan zapłacono: w gub. Warszawskiej 12,137,232, Kaliskiej 7,991,164, Kieleckiej 5,900,743, Łomżyńskiej 790,348, Lubelskiej 12,443,012, Piotrkowskiej 5,370,727, Płockiej 2,611.943, Radomskiej 12,833,496, Suwalskiej 589,265, Siedleckiej 4,922,107. Ogółem za grunty kupiono od nie włościan w całym kraju zapłacono 65,430,110 rubli.

Cyfry też prowadzą nas do dwu wniosków. Faktem jest, że parcelacya w całym kraju rozwija się ciągle i stała się ruchem żywiołowym, który sobie toruje drogę przebojem. Przeszło 65 milionów rubli zapłaconych przez włościan naszych za ziemię rozparcelowaną, to suma poważna, która wymownie stwierdza rozwój parcelacyi. Czy atoli ma ona normalne i odpowiednie środki dla prawidłowego rozwoju, bez powikłań ekonomicznych? Z zestawienia sum bankowych i prywatnych widzimy to samo, co z sum gruntów nabytych, że środki prywatne wszędzie, z wyjątkiem gub. Kieleckiej, przy nabywaniu ziemi wynoszą znacznie więcej niż bankowe. Fakt ten stwierdza to, co już niejednokrotnie stwierdzono, że przy stosowaniu przepisów bankowych w życiu zachodzą liczne formalności, które wikłają i utrudniają działalność tej instytucyi. Z tego zaś wynika, iż kredyt bankowy, stosunkowo tani, w rzeczywistości staje się drogim. Formalności te na mocy doświadczenia starano się przed paru laty usunąć, drogą instrukcyi i wyjaśnień niektórych artykułów ustawy, wreszcie za pomocą ich rozwinięcia i pewnego uzupełnienia. Są to wszakże próby, które wymagają jeszcze wielu innych zarządzeń.

Środki prywatne na kupno ziemi również przychodzą naszym włościanom dość ciężko. Takie warunki niepomyślne sprowadzają odłużenie ziemi nabytej i następnie przymusową jej sprzedaż bądź przez Bank, bądź też przez wierzycieli prywatnych. Pomimo to wszystko, lud nasz rwie się chciwie do ziemi, bez względu na uciążliwy kredyt, brak inwentarza i środków obrotowych. Rozumuje on w ten sposób: kupię sobie ziemię za wszelką cenę, oszczędzę na strawie („na brzuchu") i na innych rzeczach i kiedyś będę miał dosyć ziemi własnej; oczyszczonej z ciężarów. Rzeczywistość bardzo często daje zupełnie inne wyniki, które wszakże nie mącą powyższego rozumowania i nie osłabiają śród włościan dążności do nabywania ziemi, nawet i wtedy, kiedy ich sąsiedzi na własnych parcelach są parobkami swych wierzycieli.

Ta niczem niepohamowana dążność do nabywania ziemi i stały rozwój parcelacyi w kraju naszym są wskazówkami, jak dalece trzeba się liczyć z tem poważnem zjawiskiem ekonomicznem. Przeciwnicy parcelacyi utrzymują, iż jej nadmierny rozwój zniży poziom kulturalny rolnictwa, zniesie bowiem na szerokich przestrzeniach gospodarstwa folwarczne. Można wszakże przy umiejętnej organizacyi wytworzyć pewne równoważniki. „Niezmiernie jest ważnem i pożądanem—pisze p. Józef Jezioranski („Kolonizacya i parcelacya", Warszawa 1899)—aby pomiędzy ogólnym obszarem własności wielkiej i małej zachodził należyty stosunek. Nie mówiąc tu o innych, skądinąd doniosłych względach, same już warunki dobrobytu i postępu klasy włościańskiej wymagają aby gospodarstwa folwarczne nie znikały z powierzchni w zbyt wielkiej liczbie; inaczej bowiem ludność małorolna i bezrolna traci możność zarobkowania, włościanie zaś w rolę zasobniejsi nie mogą korzystać z postępu rolniczego, jaki przenika najpierwej do gospodarstw folwarcznych i stamtąd drogą bardzo powolną przechodzi dopiero do włościan".

Ważnym warunkiem jest sposób parcelowania majątków upadających. W tym razie parcelacya jest uważana jako środek chirurgiczny, który ratuje życie folwarkom przez amputacyę. Zwolennikiem 1-go środka jest także p. Jezioranski, który również nie bez pewnej zasady twierdzi, że zachowanie gruntów przyfolwarcznych dla upadającego właściciela, a przynajmniej wystawienie ich na sprzedaż w jednym dziale kilkowłókowym, przydatnym na gospodarstwo samoistne, będzie pierwszym warunkiem parcelacyi poprawnej, prowadzonej należycie w szerszych wymiarach.

Należałoby pomyśleć o rozszerzeniu organizacyi kredytowej i ułatwieniu kredytu, stosownie do potrzeb ludu i wymagań rozwoju ruchu parcelacyjnego. Potrzeby te p. Jezioranski uzasadnił także, w sposób następujący: „Ponieważ obarczenie Banku włościańskiego inicyatywą w sprawie parcelacyjnej zwolniłoby niezmiernie postęp prac tej instytucyi w gruncie rzeczy kredytowej, wykraczając po za obręb zadań, przez ustawę zakreślonych, byłoby więc bardzo użytecznem, aby dla przygotowania Bankowi włościańskiemu parcelacyi, w kształcie dla stron jak najdogodniejszym, zawiązana być mogła instytucya z charakterem Banku likwidacyjnego".

Zen. Piet.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne Ministeryum spraw wewnętrznych wespół z ministeryum skarbu opracowało projekt wprowadzenia zarządów ziemskich w tych guberniach, które ich dotąd nie posiadają. Specyalna narada nad ostatecznem rozstrzygnięciem tego projektu odbędzie się w m. b.

— Do budowy kolei Warszawsko-Kaliskiej zamówiono około 6,000 robotników z Cesarstwa; kilka partyj przybyło już na miejsce przeznaczenia.

— Na zgromadzeniu ogólnem przedstawicieli kasy przemysłowców warszawskich przeznaczono 1,500 rb. na zapomogi dla młodzieży rzemieślniczej, udającej się za granicę w celu dalszego kształcenia fachowego. Zarząd kasy zwrócił się do sekcyi drobnego przemysłu o wskazanie odpowiednich kandydatów.

Gub. Warszawska pod względem ilości wysyłanej korespodencyi zajmuje trzecie miejsce w Państwie Rosyjskiem Na gub. Petersburską przypada 1,901, na Moskiewską 1,811, a na Warszawską 1,583 listy rocznie na 100 mieszkańców.

Gospodarka miejska Nad dostawami i robotami prowadzonemi sposobem gospodarskim utworzoną ma być przy magistracie z rozporządzenia władzy, wyższej specyalna komisya złożona z delegata kancelaryi warszawskiego generał-gubernatora, z inżenierów i techników nienależących do zarządu miejskiego.

Z sądu. Drugi wydział karny sądu okręgowego rozpoznawał w tygodniu ubiegłym sprawę doktora Maryana Przyborowskiego, oskarżonego o dopuszczenie się czynu przewidzianego w art. 1463 i 1463 kodeksu karnego i skazał go na pozbawienie wszystkich praw stanu, 4 lata robót ciężkich, a następnie na dożywotnie osiedlenie w Syberyi.

Szkoły. Inżenierowie - technologowie, A. Kaźmin i W. Zadarnowski, mianowani zostali nauczycielami w politechnice warszawskiej; pierwszy obejmuje katedrę maszyn i kotłów parowych, drugi — katedrę technologii materyałów włóknistych. Obaj nowomianowani są wychowańcami petersburskiego instytutu technologicznego.

— *Z Ruskich Wied.* dowiadujemy się, jakoby w sferach pedagogicznych powstał zamiar skrócenia kursu męskich gimnazyów klasyczny o jeden rok, oraz ograniczenia wykładów języków starożytnych, zwłaszcza greckiego.

— Projektowane jest założenie szkoły rzemieślniczej w Bardyczowie; mieszkańcy na ten cel złożyli 10,000 rb. W szkole mają być wykładane kowalstwo, ślusarstwo, stolarstwo i tokarstwo.

Z prześladowań pruskich. *Czas* donosi, że pruskie urzędy pocztowe prześladują polskie adresy nawet na listach nadsyłanych z zagranicy i domaga się, aby posłowie polscy sprawę tę, nabierającą tym sposobem międzynarodowego znaczenia, poruszyli w parlamencie austryackim.

— W gimnazyum chełmińskiem zniesiono naukę języka polskiego.

—W Kiszkowie pod Gnieznem komisarz policyjny rozwiązał wiec dlatego, że jeden z mówców użył wyrażenia „o zawitaniu gwiazdki lepszej doli i o swobodzie."

— W Ostrowie, w czasie przedstawienia amatorskiego w „Sokole," policya zabroniła odtańczenia mazura.

Ruch kobiecy. W Bordeaux pani Augusta Weiss zbiera co tydzień, we czwartki, w jednej

z sal ratuszowych 150 dziewczynek, wychowanie niższych bezpłatnych zakładów naukowych w wieku 12—14 lat i uczy je gospodarstwa domowego oraz najważniejszych zasad hygieny dziecięcej. Jako przedmiot do wykładów poglądowych tych zasad służą duże lalki. Dziewczątka uczą się przewijać niemowlęta, sterylizować mleko, napełniać zagrzane flaszki i wogóle pielęgnować dzieci. Przykład pani Weiss znajduje w innych miastach naśladowczynie.

— W Anglii partya walcząca o zdobycie prawa wyborczego dla kobiet czyni ruchliwe zabiegi w parlamencie, gdzie obecnie zasiada już 274 członków zjednanych dla tej sprawy. Niedawno przedstawiono Izbom petycyę z podpisami 29,000 kobiet pracujących w przemyśle bawełnianym w Manchesterze.

Ze sztuki. Na dorocznej wystawie w Pałacu Sztuki w Wiedniu medal złoty państwowy otrzymał artysta malarz Józef Męcina Krzesz, rodem z Krakowa. Medal złoty arcyks. Karola Ludwika otrzymał Kaz. Pochwalski.

Zdrowie publiczne. Rada miejska dobr. publ. zamierza posady felczerów w szpitalach warszawskich dla chorych umysłowych dawać odpowiednio uzdolnionym kobietom.

Przemysł i handel. W Lipsku utworzył się komitet celem założenia narodowego banku księgarskiego. Kapitał zakładowy ma wynosić 3 miliony marek.

— Ministeryum finansów ostatecznie postanowiło w lipcu r. b. wprowadzić reformę trunkową na całej przestrzeni Rosyi europejskiej.

Ubezpieczenia. D. 24 kwietnia instytucye ubezpieczeniowe w gub. Warszawskiej, gubernialne i powiatowe, zwinęły swe czynności i zastąpione zostały przez nowe zarządy ubezpieczeniowe, wprowadzone na zasadzie Najwyżej zatwierdzonych przepisów z d. 10 czerwca 1900 r.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani Maryi Dąbskiej. Część I dzieła Maksimowa wyczerpana.

Panu M. Z. w M. Broszury nie czytaliśmy, ale przeczytamy.

Panu Kończa w Libawie To co Sz. Pan otrzymał, jest początkiem dzieła Wallace'a.

Panu J. H. H. Artykuł Sz. Pana do zwrotu.

Wyszedł z druku:

Poradnik dla samouków

CZĘŚĆ: I. Wydanie drugie, przerobione i uzupełnione.

Treść: Przedmowa. O podziale i układzie nauk, *opracował* A. Mahrburg. Matematyka, *opr*. S. Dickstein Wstęp do nauk przyrodniczych, *opr*. S. Kramsztyk. Fizyka i mechanika, *opr*. W. Biernacki i Wł. Natanson. Chemia, *opr*. L. Marchlewski. Astronomia i meteorologia, *opr*. S. Kramsztyk. Mineralogia i Geologia, *opr* J. Morozewicz. Wskazówki do zbierania krajowych kolekcyj mineralogicznych, petrograficznych i geologicznych, *opr*. Jan Lewiński. Geografia, *opr*. And. Świętochowski. Botanika, *opr*. E. Strumpf. Zoologia, *opr*. J. Eismond Biologia ogólna, *opr*. J. Nusbaum. Anatomia, *opr*. W. Świątecki. Filozofia, *opr*. A Kuczyński. Anatomia i fizyologia układu nerwowego, *opr*. E. Flatau. Psychologia, *opr*. A. Mahrburg. Antropologia, *opr*. L Krzywicki. Historya medycyny, *opr*. Wł. Biegański i J. Peszke. Hygiena, *opr*. O. Bujwid i N. Kostanecki. Dopełnienia bibliograficzne. Skorowidz. Pytania czytelników i odpowiedzi redakcyi.

Warszawa, 1901. Str. 728+XLII.

Cena 1 rub., z przesyłką pocztową w opasce rekomend. 1 r. 50 kop.

Administracya *Prawdy* otrzymała na skład 200 egz. książki

W. Sieroszewskiego

12 lat
w kraju Jakutów.

Cena 3 rb.

(Nakładem drukarni Fr. Karpińskiego. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka).

Pragnący nabyć tę książkę abonenci zamiejscowi *Prawdy*, prenumerujący bezpośrednio w naszej administracyi, kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Апрѣля 1901 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.